Nr. 2. Lwów, dnia 10. Stycznia 1888 r. Rok I.



Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwartalnie **1** zl. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów.

W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek, ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski.

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*" **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*" **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Izba, do której Maryna weszła po stoczonej bitwie z sąsiadkami, była biała, przestronna i widna, ale nie wysoka. Przy drzwiach, nad któremi bogobojny gospodarz wypisał początkujące litery Trzech królów i rok bieżący, K. + M. + B. + 1881, stała na lewo niewielka szafa, z naczyniem kuchennem, nad nią półki z talerzami fajansowemi, między któremi widać także było kilka filiżanek z pozłacanemi brzegami i dwie flaszeczki kolorowe. Za szafką rozsiadła się skrzynia potężna, żelazem okuta, mieszcząca prawdopodobnie w swem wnętrzu odzież i pieniądze; dalej, pod oknem, które na podwórze wychodziło, zajął miejsce długi stół sosnowy, przy nim kilka stołków; pod ścianą przeciwległą dwa łóżka jesionowe dopełniały umeblowania.

Po prawej stronie drzwi wchodowych, a naprzeciwko półek z talerzami, widać było piec duży, nie bardzo foremny, brzuchaty, postawiony z niebieskawych płyt kaflowych, który z boku miał troje drzwiczek żelaznych, zamykających tyleż otworów. Na dole paliło się węglem, w środku była angielska kuchenka, na górze rura, służąca do wypiekania potraw, bądź też, gdy piec był zimny, do przechowywania chleba, na który myszy zawzięcie polowały. We frontowej ścianie pieca mieścił się kociołek miedziany, z nakrywą silną i szczelnie się zamykającą, który codzień rano Maryna własną ręką czyściła, gdyż on był chlubą jej ogniska domowego.

Przy oknach wisiały białe perkalowe firanki, ściany zaś u góry były ozdobione długim szeregiem najrozmaitszych obrazków.

Nad stołem widać było Kazimierza W i Zygmunta Augusta; obok nich, Książę Józef na wyciągniętym rumaku rzucał się w fale Elstry; za nim szli dowódzcy legjonów: Dąbrowski i Kniaziewicz, po nich następowało kilka kartonów ilustrujących Pamiętniki Paska, ale tak zaczernionych, że ledwie można się było domyśleć, co przedstawiały; nad łóżkami wisieli sami Święci pańscy, na których czele jaśniał w szatach złocistych patron Wielkopolski i gospodarza tego domu, Św. Wojciech.

Pod oknem, za stołem, siedział chłop rosły, młody i dorodny. Na nogach, które szeroko rozstawił i tak wyciągnął, że aż po za stół sięgały, miał buty wysokie i szklące, w nich obcisłe czarne pantalony z sukna grubego. Takaż kamizelka na piersiach z metalowemi guzikami, które jak srebro błyszczały, i chustka po trzykroć dokoła szyi okręcona, dopełniały jego stroju. Zwierzchniego odzienia nie miał jeszcze na sobie, za to na głowę włożył czapkę wojskową u góry szeroką, która nad daszkiem była trupią głową ozdobiona.

Przed nim stał kufel piwa świeżo nadpoczęty, talerz fajansowy, na którym leżały dwa spore kawałki chleba, grubo smalcem posmarowane, dalej sól na miseczce i dzbanek blaszany z pokrywą, w którym prawdopodobnie piwo się znajdowało.

Gdy tak siedział na dłoni oparty, w czapce na tył głowy nasuniętej, wyglądał zuchwale, wyzywająco prawie.

Na widok matki wchodzącej, był to bowiem jej syn pierworodny, Jasiek, uśmiechnął się i drwiąco zapytał:

— I cóż matko, dobry był *Tanz*?

— Siedziałbyś cicho, poganinie! — krzyknęła — bo to przez ciebie! Gdyby nie ty, miała bym spokój, a tak muszę się wszystkim psom odgryzać.

Ale dobrego mam syna, bardzo dobrego... mnie tam na dworze omało językami nie porozdzierały, a on tymczasem siedział w izbie, pił piwo, i ani spojrzał co się z matką działo.

Mówiła prędko, w części po polsku, w części po niemiecku i groźnem okiem siedzącego mierzyła.

— Ja ta wiedziałem, że wam wszystkie ustąpią — odrzekł — bo wasz język, matko, to jak szabla huzarska. Gdzie utnie, zaraz krew płynie.

— Tak? tak?... A bodajeś za moją krzywdę światłości niebieskiej nie oglądał! — krzyknęła do stołu się zbliżając. — To ja się za ciebie użeram, a ty poganinie będziesz drwił z matki? A tom sobie węża pod sercem wychowała!

— Oho! nowy *Tanz!* -- syn jej przerwał, kufel do ust podnosząc.

Matka, złośliwą tą uwagą do ostateczności doprowadzona, założywszy ręce na piersiach jęła słowami dobitnemi syna moralizować. On tymczasem pił piwo, spokojnie jadł chleb, przeciągał się, ziewał, lecz milczał jakby nic nie słyszał Prawdopodobnie musiał wiedzieć z doświadczenia, że taka taktyka była z nią najlepsza, skoro po niejakim czasie, głos matki zaczął słabnąć, urywać się, w końcu zupełnie ucichł. Wtedy podniosła najpierw krzesło, które na środku izby leżało z nogami połamanemi, aby usunąć ostatni dowód dzisiejszego gniewu Wojciecha, potem usiadła na końcu stołu i głowę wsparła na dłoni.

Nie długo trwało, a jej twarz, przed chwilą czerwona i gniewna, pobladła i złagodniała, wzrok roziskrzony zmienił się na posępny, usta i policzki niedawno jeszcze grube, nabrzękłe, odrażające prawie tak wyszlachetniały, że zrobiła się z niej zupełnie inna kobieta, wcale nie brzydka i nawet sympatyczna. Nie patrzyła na syna, tylko w okno. W nieruchomej tej postawie przesiedziała jednak ledwie kilka minut, wkrótce bowiem, nie mogąc żałości powstrzymać, co się jej w piersiach nagromadziła, fartuch do oczu podniosła, poczem głowę zwiesiwszy, cicho się rozpłakała.

Syn przypatrywał się matce obojętnie i z apetytem kończył śniadanie. Gdy jej łzy ulżyły, a pierś się uspokoiła, obtarła oczy i krótko zapytała:

— Pójdziesz do kościoła?

— Ta trzeba. Chciałbym z księdzem o metryce pomówić.

— Na co tobie tej metryki, chłopcze, na co?

— A co bym ja tu z wami robił? — odrzekł, szeroko się rozpierając. — Na waszych polewkach, co mi się już uszami leją, człowiek wysechłby jak szczypa i w końcu musiałby „skrepirować“.

— Nie obrażaj pana Boga, poganinie, i mów prawdę! — żywo zawołała. — Czy to ja ci nie gotuję „zuptówki“, rano zaś czy nie masz kawy, a potem piwa?! Oj, Jaśku, Jaśku, żeby cię tylko kiedy za to pan Bóg nie pokarał.

— Już ja się tego nie boję, bo my z sobą *gut Freund* — śmiejąc się odpowiedział. — Bóg przecie wie, że *Todtenhuzar* potrzebuje dobrze jeść i pić, żeby nie zmarniał. — Tu czapkę z fantazją na czoło sobie nasunął i dalej mówił: — Jak już będę w Berlinie, to nie długo matko usłyszysz, co się z twego syna zrobiło.

Maryna dopiero teraz na to uwagę zwróciła, że Jasiek w czapce siedział.

— Jaśku! Jaśku! to ty masz czapkę na głowie, tu, gdzie święte obrazy wiszą?! — zawołała ręce łamiąc.

— *Dumheiten*! — odrzucił. — Jakeśmy byli na manewrach w Pomeranji, tośmy tam raz z jednego cmentarza w nocy wszystkie krzyże drewniane pozabierali, porąbali i spalili, a przecie w niebie nikt się za to na nas nie rozgniewał. Zresztą moja czapka także poświęcona, bo ją *„feldpater“* nie raz święconą wodą kropił.

Matka słuchając tego, własnym uszom nie wierzyła. Chciała, żeby jej syn coś znaczył, żeby nie był prostym chłopem; gdy go w krótkim szpencerze zobaczyła, urosła we własnej opinji, boć żadna z jej sąsiadek takiego chłopca na świat nie wydała, wreszcie jej radość osiągnęła szczyt najwyższy, gdy z nią po niemiecku zaczął rozmawiać, lecz z tem wszystkiem nie życzyła sobie, żeby jej pierworodny robił się podobnym do owych żołnierzy bez religji, o których sam ksiądz mawiał z kazalnicy, że nie mają Boga w sercu.

— Jaśku, nie mów tak, i zdejm czapkę, boś gotów źle skończyć — prosiła tonem błagalnym.

— *Dumheiten!* — drugi raz zawołał od stołu powstając. — Trzeba ubrać się i pójść do księdza, bo jakby stary wrócił, toby znowu był *Tanz*. Matko, dajcie mi szpencer.

— A nie weźmiesz, Jaśku, kapoty ojca? Przecie dziś rano za to taką robił publikę, że chciał koniecznie, byś w jego kapocie chodził.

— Prawda, ale matka mu odpowiedziała, że będę nosił szpencer, bo sama tego chce, teraz zaś to byście znowu chcieli kapoty. Ej, czy wy się jeno matko starego nie boicie, choć do oczu skaczecie mu jak jaszczurka?

— Czy go się boję? O! niedoczekanie jego, żebym go się bała, ale zawsze to twój ojciec, i dobry człowiek... A zresztą kto tam wie, po czyjej stronie sprawiedliwość. Może ja chcę lepiej, a może on. Jaśku! weź dziś chyba kapotę, weź!

— Żeby się ze mnie ludzie śmieli? — odrzekł ku łóżku podchodząc, na którem szpencer zobaczył. — Ja tego nie zrobię, bo się go przecie nie boję.

To powiedziawszy ubrał szpencer, przy którym guziki były także świecące, lecz znacznie większe niż u kamizelki, do jednej kieszeni włożył fajkę porcelanową, ale tak, żeby cybuch z niej wyzierał, do drugiej czerwoną chustkę od nosa, jednym końcem do góry, by każdy mógł ją widzieć i podziwiać, wyjął tytoń, skręcił papierosa, włożył do ust, zapalił, i słowa do matki nie przemówiwszy, z izby wyszedł.

Ona przypatrywała mu się z początku okiem żałośnem, lecz gdy go nareszcie w pełnym stroju ujrzała, miłość matki wzięła górę nad skrupułami, i odtąd w swoim pierworodnym widziała znowu młodzieńca, z którego mogła być dumna, gdyż rówieśników swoich pod każdym względem przewyższał. We wsi było kilku w tym samym co on wieku, niegdyś bawili się oni razem, pływali po jeziorze i z gniazd sroki wybierali, jednakże dziś jak wielka między nimi zachodziła różnica! Tamci zostali chłopami, umiejącymi tylko orać, siać i kopać, przeciwnie Jasiek wykierował się już na człowieka.

Ha! kto wie, czy nie będzie jeszcze lepiej, jeśli pójdzie do Berlina!..

Tak myśląc postępowała za synem. Odprowadziła go najpierw na podwórze, potem do furty, przez którą wychodziło się na drogę. Tu zatrzymała się jeszcze chwilę patrząc za nim z uśmiechem, dopiero gdy za murem domu sąsiedniego z oczu jej zniknął, do izby wróciła.

V.

Jasiek szedł powoli, z głową zuchwale zadartą, jedną ręką czarny wąsik podkręcał, w drugiej trzymał cygarniczkę z kurzącym się papierosem. Był już kawałek od domu, gdy sobie przypomniał, że nie ubrał rękawiczek. Stanął, zaczął szukać po kieszeniach, a gdy zgubę znalazł, przyokrył nią obie ręce. Przyszło mu to z łatwością, rękawiczki bowiem były ogromne, a prócz tego nie miały guzików. Otrzymawszy je przed rokiem od swego kapitana, u którego był „burszem“ dbał o nie jak o oko w głowie i co tydzień sam je prał starannie, biała bowiem rękawiczka ze skórki baraniej, łatwiej, niż cokolwiek innego, mogła świadczyć o wysokiem stanowisku, jakie w armji zajmował.

Dziewczęta i kobiety, wychodząc z domów to pojedyńczo, to parami, zerkały ukradkiem na młodego Żołędziaka, lecz z tych spojrzeń przelotnych niktby nie odgadł, co w nim więcej im się podobało: rękawiczki, czy też jego wzrost dobry, bary szerokie, czarny wąsik i mina wyzywająca.

Niewiasty, bez względu na wiek i stan, miały na głowach białe czepeczki, kolorowe gorsety, spodnice w kłębach niezmiernie szerokie, a krótkie, nakoniec ciemne pończochy i trzewiki. Każda niosła grubą książkę do nabożeństwa, a że skwar robił się coraz większy, więc niektóre między niemi pozarzucały białe chusteczki na głowy, by chociaż trochę ochronić oczy od palących słońca promieni.

Mężczyźni byli przeważnie w kapotach, prócz kilku młodszych, którzy mieli już surduty niemieckie. Wszakże żaden z nich strojem nie dorównał Jaśkowi. Ten był pierwszym modnisiem i pierwszym Don Juanem w Trzcińcu. Żałował tylko, że zbyt surowa przyzwoitość wiejska, nie pozwalała mu teraz zbliżać się do dziewcząt, które do kościoła spiesząc, trzymały się lewej strony drogi, podczas gdy mężczyźni szli po prawej. W duchu jednak przyrzekał to sobie powetować po nabożeństwie, gdy będzie do domu wracał.

We własnej opinji był on osobistością tak znakomitą, że nikogo nie uznał godnym dłuższej rozmowy. Przechodząc obok znajomych, witał ich krótkiem: *Gut Morgen* i rzadko komu raczył się ukłonić, co gdy czynił, podnosił po wojskowemu rękę do czapki.

Starzy ojca znajomi widząc to, stawali i głowami potrząsali.

— Patrzcie, patrzcie, co się z młodego Żołędziaka zrobiło... Czysty niemiec!

Niemiłe to spostrzeżenie, musiały podzielać także psy wioskowe, skoro na widok nieznajomego eleganta, który kusy strój niemiecki ukoronował czapką wojskową, zaczęły biedz za nim i ujadać, a były między niemi i takie, które wziąwszy ogon pod siebie, tuliły się do murów warcząc niespokojnie.

Wieś, którą trzeba było całą minąć, nim się doszło do kościoła, wyglądała zupełnie jak wieś niemiecka. Środkiem biegła droga prosta, szeroka i długa, mająca po obydwu stronach domy mieszkalne, które stały do niej bokiem. Domy były murowane, z cegły czerwonej, kryte dachówką; budynki gospodarskie, w tyle za domami stojące, były także z cegły. Strzechy, którą spotyka się jeszcze gdzie niegdzie w Wielkopolsce, zwłaszcza w jej powiatach północnych, tutaj nigdzie się nie widziało. Domy były osamotnione, bez drzew, bez sadów, nawet bez ogródków kwiatowych. Wyglądały one smutno, jak czerwone namioty na afrykańskich piaskach rozbite. Ci, co w nich mieszkali, przyjęli od swych bliskich sąsiadów sposób budowania mieszkań. i tak samo, jak niemcy, robili swoje obejście ile możności małe, aby bezpotrzebnie ziemi nie marnować. Jakaż jednak szkoda, że praktyczności całkiem oddani, zapomnieli o tej poetycznej stronie ducha słowiańskiego, który bez drzew, kwiatów, wody, więdnieje i usycha.

W kościele, każdej niedzieli i święta, dzwoniono po dwakroć. Pierwszy raz na godzinę przed sumą, aby mieszkańcy dalszych okolic mieli czas się zebrać, drugi raz na kwadrans przed nabożeństwem. Właśnie drugi raz w dzwony uderzono, gdy Jasiek na pagórek wstępował. W tym samym czasie, ojciec jego przyczepiał czółno do słupa pod swoim domem.

Po zakrystyi, w brewiarzem w ręku, przechadzał się proboszcz ks. Błażej Czyżyk. Kościelny

układał ornat, dwaj chłopcy w czerwonych ubraniach po kostki, na których mieli krótkie, białe komeszki, stali na boku. Jeden strzegł mszału, drugi kadzielnicy. Byli to Jędruś i Michałek, rodzeni bracia, a synowie Wojciecha Żołędziaka. W niedziele i święta, wychodzili oni z domu zaraz po śniadaniu i aż do południa byli w kościele. Tam sprzątali, dzwonili, służyli do mszy świętej. Ojca wielce to radowało, wolał bowiem, że dzieci jego zaskarbiały sobie łaskę bożą, niż żeby miały bąki zbijać; chłopców zaś cieszyło to zajęcie, jakby gody jakie, gdyż nie tylko wprowadzało pewną rozmaitość w ich życie codzienne, lecz co może stokroć dla nich było ważniejsze, odrywało ich na jakiś czas od domu, gdzie matka ciągle była niezadowolona i ciągle gderała, przyczem nieraz to jeden to drugi coś oberwał.

Proboszcz, przechadzając się po zakrystyi, cicho modlitwy odmawiał. Był to człowiek wcale jeszcze nie stary, dopiero dwa lata temu skończył pięćdziesiątkę, lecz wyglądanie jego było tego rodzaju, że ktokolwiek nań spojrzał, nie wróżył mu życia długiego. Był niski, szczupły, chudy, piersi miał jakby załamane, na głowie włosy rzadkie, przytem całkiem siwe; policzki i skronie były pozapadane, nos suchy i kończasty, skóra na czole tak naciągnięta, że przez nią kość przezierała, nakoniec usta miał wąskie a zawsze sine. Na tej twarzy, już dziś tchnieniem śmierci owianej, jaśniały oczy czarne, duże, wypukłe, jakby z oprawy wyskakiwały, a tyle w nich było wyrazu, że rzadko kto mógł ich spojrzenie wytrzymać. Nie były groźne, a jednak tak gdzieś głęboko w duszę się wdzierały, że ktokolwiek w nie spojrzał, czuł grozę.

Przestawszy szeptać, stanął w tem miejscu, gdzie ornat leżał złożony, przeżegnał się, głowę podniósł i znowu zaczął się modlić. Wszakże tymrazem nie mógł modlitwy spokojnie dokończyć, nagle bowiem porwał go kaszel gwałtowny a suchy. Oparłszy się oburącz o szafę, kaszlał też długo, z wytężeniem sił wszystkich, aż mu twarz poczerwieniała i żyły na czole nabiegły. Gdy się nakoniec trochę uspokoił, wyjął chustkę, obtarł nią czoło i oczy, bo w nich miał łzy z natężenia, skończył modlitwę i już chciał zacząć się ubierać, gdy usłyszał za sobą głos kościelnego, który mówił:

— Proszę jegomości.

Obrócił się. Przed nim, o trzy kroki, stał Jasiek Żołędziak, wyprostowany, sztywny, dumny. W prawej ręce trzymał czapkę, w lewej miał czerwoną chustkę od nosa. Gdy wzrok proboszcza na nim się zatrzymał, schylił nieco głowę, i tym tonem, w którym przebija się pewność siebie, rzekł:

— *Gut Morgen*

— Co? co? — zapytał kapłan czoło marszcząc.

— *Gut Morgen* — Jasiek powtórzył, lecz widząc, że proboszcz jakoś strasznie w niego się wpatruje, skręcił się niespokojnie i głowę zwiesiwszy dodał: — Dzień dobry, jegomości.

Ksiądz o krok się zbliżył.

— *Gut Morgen*?.. Dzień dobry? — zawołał, ale takim tonem, że każdego z obecnych dreszcz zimny przebiegł od stóp do głowy. — Czy ty nie wiesz, do kogoś przyszedł, gdzie jesteś? Wszak ochrzcili cię w tej oto świątyni pańskiej, oddali na łono kościoła katolickiego, a ty, bezbożniku, śmiesz teraz przychodzić do mnie, do tego sługi Chrystusowego, któremu święty kościoł katolicki nad twoją duszą pieczę powierzył, i nie witasz go obyczajem twoich ojców: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, tylko mówisz *gut Morgen*, dzień dobry? I ty dopuszczasz się tego odstępstwa, tego grzechu, tu, w przedsionku świątyni Pańskiej, w obec tego Chrystusa, który za ciebie dał się ukrzyżować?

Jasiek, potęgą tych słów przygnębiony, skulił się i nie śmiejąc ani na księdza spojrzeć, ani nawet głowy podnieść, zaczął machinalnie w tył się cofać. Proboszcz postępował za nim i dalej mówił:

— Wiem po coś przyszedł, bo biedny twój ojciec już kilka razy mi wspominał, że zamiast z nim pracować, i jak on Boga chwalić, chcesz iść do Berlina i tam szczęścia szukać. Radbyś więc dostać metrykę, aby to szczęście było już niewątpliwe... Pewność zaś twoja pod tym względem, jest tak wielka, szaleńcze, że zamiast przyjść do kancelaryi mojej, ośmieliłeś się niepokoić mnie w miejscu świętem i obrażać moje uszy katolickie niemieckiem *gut Morgen*? A zejdź-że mi z oczu, i przybytku Pańskiego obecnością swoją nie kalaj!

To powiedziawszy, rękę do góry podniósł, jakby się od niego chciał zasłonić. Jasiek inaczej to sobie wytłumaczywszy, otworzył szybko drzwi, przy których właśnie się znajdował i jednym susem na dwór wyskoczył.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

II

Nazajutrz trochę wcześniej, niż o godzinie wyznaczonej, odprowadzono pannę Maulabret do szpitala, gdzie jej ciotka, nazywająca się w klasztorze matką Amelją, była przydzielona do wydziału chirurgicznego od lat dwunastu, poświęcając dni, a często i całe noce, pilnowaniu i pielęgnowaniu sali dla kobiet, w której mieściło się pięćdziesiąt łóżek. Odźwierny, któremu jej przybycie zapowiedziano z góry, poprowadził ją bocznemi schodami, ukrytemi w murze i mocno wychodzonemi do małej celki, w której nic nie było prócz trzech stołków drewnianych i prostego tapczana. Nad tapczanem, na ścianie pobielonej, była zawieszona duża kropielnica, na niej dwie palmy na krzyż złożone zaś w samej górze, nad kropielnicą wisiał wspaniały krucyfiks hebanowy, z ciałem Pana Jezusa z kości słoniowej.

Jetta noc całą przeplakała. Obecnie miała już oczy suche, zdawało jej się nawet, iż na więcej łez zdobyć by się nie mogła, że źródło tychże wyschło na zawsze. Obiecała matce Teresie, iż będzie się dzielnie trzymała w obec nieszczęścia, które na nią czekało. Czegoż zresztą mogła się jeszcze spodziewać? Zdawało jej się, iżwszystko odgadła; mimo jednak, iż domyślamy się najgorszego, rzeczywistość gotuje nam częstokroć jeszcze nową niespodziankę. Przybyła zawcześnie.

Po półgodzinnem oczekiwaniu, ujrzała wchodzącą kobietę wzrostu małego, otyłą, brzydką, którą habit ciemny osłaniał niemal zupełnie; długi, biały fartuch, związany był pod szyją, a drugi raz w pasie.

Ktoś roztargniony byłby ją wziął za osobę tuzinkową i bierną; tymczasem studjując tę postać uważniej, łatwo było spostrzedz, iż z nią się liczyć wypada, że i ona coś znaczy na świecie i niebezpiecznie by było chcieć ją wyrugować ze stanowiska raz zajętego. Jej policzki i ręce były jak wosk żółte; rośliny w cieniu rosnące bez słońca, są zwykle blade i bezbarwne. Była jednak dobrej tuszy, życie szpitalne tuczy widocznie; była silna, ruchliwa, niestrudzona. Właściwie nie była ani zdrową ani chorą, zresztą nigdy się nad tem nie zastanawiała, co się działo z jej ciałem. W twarzy pełnej, rozlanej a bezbarwnej, były wbite, niby dwa goździe, oczki czarne, malutkie, które wyrażały nawyknienie i gust do rozkazywania, a w dodatku czytało się w nich surowość nieubłaganą duszy, przyzwyczajonej wymagać wiele od innych, skoro i sobie w niczem nigdy nie folgowała. Ta mała kobiecina trzymała się zawsze prosto, ani jednej linji nie uroniwszy z wzrostu jej udzielonego i robiła wrażenie osoby niemal wysokiej.

Pierwszym popędem panny Maulabret było podbiegnąć i rzucić się w ciotki ramiona. Odczuła jednak natychmiast, iż to jest rzeczą niemożliwą, że matka Amelja nie jest matką Teresą, że wszelkie poufałości i serca porywy nie są w jej guscie. Badała tę twarz pełną a bladą, wlepiając w nią wzrok spłoszonej gazeli, była ona bowiem dla niej nowością przerażającą. Matka Amelja wskazała jej palcem na stołek, następnie sama usiadła, świdrując ją przez chwilę okiem srogiem i przenikliwem. Jeżeli życie w szpitalu tuczy, z drugiej strony robi każdego twardym i na wszystko obojętnym co jest zresztą bardzo dobrem i potrzebnem; zakonnica z sercem nadto miękiem i która by czas marnotrawiła na rozczulaniu się nad swoimi chorymi, musiałaby zaniedbać ciężące na niej obowiązki i źle by chorych doglądała. Trzeba i to dodać, iż matka Amelja chowała cały zasób litości, na jaką ją stać było, dla brzydkich. Coś zawsze w nas zostaje z dawnego człowieka, nie umiera się całkowicie dla siebie samego, łaska z góry i śluby zakonne hamują porywy natury, ale natury z gruntu przerobić nie zdołają. Zanim wstąpiła do klasztoru ta brzydula, która miała siostrę bardzo ładną i bardzo podziwianą, znienawidziła wszelką piękność; uważała ją za zniewagę, za obelgę jej osobiście wyrządzoną. Panna Maulabret była niesłychanie do matki podobna. Wpatrując się w tę śliczną twarzyczkę, z wyrazem tak naiwnym i czarującym, matka Amelja uczuła radość dziką, i nie mogła się wstrzymać żeby w duchu nie powiedzieć:

— Te piękne oczy przydadzą jej się teraz li do płaczu.

Natychmiast atoli skarciła się za ten głos natury, przeżegnała się nieznacznie, jakby chciała odpędzić szatana, i nie myślała już o niczem więcej, jak tylko o wypełnieniu obowiązku, o sprostaniu temu, co jej sumienie nakazywało, ono zaś zalecało jej właśnie surowość i nieugiętość.

— Tak jest mościapanno — rzekła brutalnie — jesteś sierotą.

Panna Maulabret uczuła, że krzesło i podłoga nawet usuwa się pod nią i zdało jej się, iż pod stopami widzi otwierającą się otchłań straszliwą, która patrzy na nią; otchłań ta była czarna, bezdenna.

Matka Amelja przemówiła znowu, tym razem tonem cokolwiek łagodniejszym, chociaż z lekkim odcieniem ironji.

— Zapewniali mnię Jetto... wszak Jetta ci na imię, nieprawdaż?... mówiono, iż byłaś zaliczana między *Dzieci Maryi*. Jeżeliś istotnie serce oddała Dziewicy Niepokalanej, ona ci dopomoże znieść cios nieunikniony.

Jetta zebrała wszystkie siły.

— Błagam cię pani...

— Tu *matką* mnie nazywają — przerwała jej sucho zakonnica.

— Proszę cię więc matko...

Wymówiwszy to słowo tak słodkie, a które dla niej było już bez znaczenia, usta dziecka biednego wykrzywiły się konwulsyjnie; nie była wstanie dokończyć. Matka Amelja odgadła jej myśli, zrozumiała iż radaby dowiedzieć się o wszystkiem, że pragnie tłumaczeń i szczegółów; zakonnica atoli nie lubiła się wdawać w próżne i niepotrzebne eksplikacye. Odpowiedziała więc, niczego w bawełnę nie obwijając:

— Już to co prawda, moja panno, źleś trafiła, bardzo źle, z twojem urodzeniem. Twoja matka była bardzo ładna; jesteś jej wiernem odbiciem. Zaczęła żyć z twoim ojcem jak najgorzej, wreszcie rozeszli się ku wzajemnemu zadowoleniu. Jakoś rok temu będzie, wyjechała do Neapolu, z pewnym hrabią włoskim, który był może tylko prostym awanturnikiem. Dwunastego bieżącego miesiąca, urodziła dziecię. Sądy Boskie bywają straszne: skazał On na śmierć dziecię i matkę.! W trzy dni później, o tej samej godzinie, twój ojciec.. nic mu już nie zostało, wszystko przetrwonił, przehulał, wszystko stracił, nawet swoje ułudy i nie miał siły przeżyć takowych. Pycha była jego bogiem i za to go Bóg Wcielony opuścił.. „Baalu, odpowiedz nam!“ — wołali fałszywi prorocy, a Eljasz rzekł im: — „Krzyczcież mocniej, może was usłyszy skoro ma być Bogiem; zapewne myśli o czemś innem, lub zajęty, lub w podróży; kto wie zresztą czy nie spi, więc go trza obudzić“. — Baal nie chciał się obudzić, i oto piętnastego grudnia, o dziesiątej wieczór, ojciec twój kulę sobie w mózg wpakował.

Jej ojciec zatem, zastrzelił się piętnastego wieczór, a piętnastego grudnia popołudniu, przyszedł ją pożegnać. Chwila ta stanęła jej w oczach. Wtedy już był tylko jedną nogą na świecie; może już nawet nim przyszedł, nabił pistolet. Zauważyła była jego wygląd niezwykły, ściskał ją kilka razy, tak czule jak nigdy; ale ona tego nie zrozumiała, nie umiała w oczach jego odczytać fatalnego zamiaru, nie przemówiła do tego serca zranionego: — „Twój smutek nadto ci cięży, daj mi z niego połowę, daj żywo“. — Z pewnością, słówko jedno, jedno spojrzenie byłoby wystarczyło, aby go wstrzymać od strasznego zamiaru, i byłby żył. Na tę myśl rozpacz ją ogarnęła; oskarżała, złorzeczyła, przeklinała siebie i wybuchła łkaniem konwulsyjnem. Upusty otworzyły się na nowo, łzy zalewały twarz, ręce, suknię; był to potok rwący, istny potop. I wiecznie widziała w wyobraźni tę scenę ostatnią.

Zdawało jej się iż widzi zmarłego, rozmawiała z nim mówiąc mu to wszystko, czego w dziwnem zaślepieniu przedtem nie wypowiedziała; wołała głosem serce rozdzierającym: — Ależ popatrz na mnie, popatrz tylko, a wtedy zobaczymy czy umrzeć potrafisz!

To trwało z pół godziny, poczem udało jej się zapanować nad sobą, wstydziła się niemal iż mogła tak się zapomnieć, wyrzucała sobie, że dała się porwać wybuchowi rozpaczliwemu, tem bardziej, że przyrzekła była uroczyście matce Teresie, spokój i rezygnacyę. Obtarła oczy i głowę podniosła. Matka Amelja była świadkiem tej rozpaczy, nie przemówiwszy słowa, nie ruszywszy ani jednym palcem. Spokojna, obojętna, wzięła machinalnie w rękę prawą długie nożyce, wiszące u pasa wraz z różańcem i wpatrywała się w ich ostrze z oczami spuszczonemi, to je zamykając, to znowu otwierając bez myśli.

— Dość już mówiło się o przeszłości — szorstko wtrąciła, — teraz zajmijmy się twoją przyszłością.

To słowo dreszczem przeniknęło pannę Maulabret. Nie tylko więc była przeszłość, będzie i przyszłość. Siedziała naprzeciw okna, przez szyby pożółkłe rzuciła okiem na obszerny ogród szpitalny, który wyglądał w ten mroźny poranek grudniowy, nagi, obdarty, milczący. Drzewa bez liści wyciągały smętnie suche konary, obleczone mgłą gęstą; kiedy niekiedy wiatr niemi wstrząsał, a wtedy poruszały się zrozpaczone, zniechęcone; zdawały się już nie wierzyć, iż kiedyś wiosna zawita. I Jetta myślała tak samo, iż prawdą jest li srogość zimy, wiosna zaś kłamstwem wierutnem.

— Faktem jest niezbitym — mówiła dalej matka Amelja, wypuściwszy z rąk nożyczki — iż przyszłość twoja nie przedstawia się zbyt wesoło. Gdy rodzice twoi rozeszli się, ojciec wierząc święcie, iż jego geniusz znaczy tyle, co wielki majątek, był bardzo hojny twoim kosztem, i cały jej posag oddał twojej matce. Co się stało z tym posagiem? Trzeba by o to spytać owego hrabiego włoskiego, można jednak z góry przypuścić, iż on nic nie odpowie. Co do ojca twojego, znaleziono w szufladce, w biurku, czterysta siedmdziesiąt pięć franków i czterdzieści centymów. To stanowi cały twój majątek.

Jetta głos odzyskała. Tonem stanowczym, który ciotkę zdziwił niesłychanie:

— Czy mój ojciec zostawił jakie długi? — spytała. — Chciałabym się o tem dowiedzieć, gdyż w takim razie...

— Podjęłabyś się takowe spłacić, co?... A czem, jeżeli wolno wiedzieć.

— Będę pracowała — rzekła sucho.

Matka Amelja wzruszyła ramionami.

— Pod tym względem możesz być zupełnie spokojna Trzeba mu przyznać, iż zanim się zastrzelił, załatwił i uporządkował wszystko. Jeżeli zostawił jakie długi bardzo pilne, które trzeba koniecznie zaspokoić, zapłaci się je bez twojego wmięszania się w te sprawę... Ale pomijając tamtą kwestyę, wróćmy do twojej przyszłości. Znasz resztę krewnych, którzy ci zostali?

— Nie pani... nie matko — szybko się poprawiła.

— Ja zaś znam ze strony twojej matki, dwóch twoich dziadków, a moich stryjów, panów Antoniego i Ludwika Cantarel. Pierwszy jest sławnym lekarzem — operatorem, profesorem uniwersytetu i dyrektorem w mojej sali. Bywa tu codziennie i gdybyś była przybyła o godzinę wcześniej, byłabym cię mogła zaraz dziś jemu przedstawić. Drugi jest mniej znany, niedługo atoli, ile się zdaje, będzie miał zaszczyt zasiadać w tutejszej radzie miejskiej. Pojmuję iż nie znasz żadnego z nich, oddawna bowiem nie żyli z twoim ojcem, który miał dar kłócenia się z całym światem. Muszę jeszcze i o tem wspomnieć, iż obaj są ateuszami...

— Przepraszam, że śmiem przerwać matce... czy przed śmiercią mój ojciec nie zostawił jakich rozporządzeń? Czy nie napisał, czem życzy sobie, żebym została?

— Chciej mi nawzajem przebaczyć, że zapomniałam, iż mam oddać ci list, który twój dziadek, Antoni, wręczył mi, abyś go przeczytała... po co? nie wiem doprawdy.

Zaczęła szukać listu w olbrzymiej kieszeni swojego habitu. Kieszeń zakonnicy to świat cały; matka Amelja dobyła najprzód ze swojej naparstek, dwie czy trzy poduszeczki na szpilki książeczkę z notatkami, brewiarz, kawałek świecy nadpalonej, pęk kluczy, zwitek tasiemki, nareszcie list w kopertę wsunięty, który podała pannie Maulabret, a w którym mieściły się te słowa:

„Panie! Próżniłeś się ze mną od dawna; w czasie moich kłótni małżeńskich, byłeś całkiem po stronie mojej żony i potępiłeś mnię z surowością, może nawet trochę przesadzoną. W chwili obecnej nie myślę atoli wszczynać sprzeczki, o ile sądy pańskie były sprawiedliwe, sam na siebie wyrok wydałem, skoro życie sobie odbieram. Za godzinę przestanę istnieć, nic na świecie nie zostawiając prócz córki, którą ośmielam się polecić na klęczkach ze łzami pańskiej życzliwości. Szacunek, który wzbudza we mnie pańska zacność, jest mi rękojmią, iż raczysz wysłuchać ostatniej prośby umierającego. Zechcesz zapomnieć o błędach i przewinieniach, któreś ojcu wyrzucał, bacząc li na zupełną niewinność tego dziecka nieszczęśliwego, tej mojej biednej córki, której nie mogłem dowieść, jak mi była drogą i ukochaną Zaklinam, bądź jej opiekunem. Powierzam ją panu, oddaję i umieram spokojnie, przekonany, iż znajdzie w tobie ojca drugiego“.

To, czego teraz doświadczała panna Maulabret było niemal uciechą; przekonywała się bowiem, iż ojciec kochał ją do końca, że ona była jego myślą ostatnią. Przycisnęła do ust list przez niego napisany, a który dla niej był skarbem, stanowił niemal relikwię. Następnie, pod wpływem jednego li uczucia, zapominając na chwilę o przyszłości i przeszłości, zwróciła się do ciotki z pytaniem:

— Czy mogę list zatrzymać?

Matka Amelja znowu wzruszyła ramionami za całą odpowiedź.

— Twój dziad, Antoni — rzekła po chwili — nie dał się wzruszyć ostatnią prośbą umierającego. Podczas narady familijnej, pod prezydencyą sędziego pokoju, tłumaczył się iż nie jest żonaty, żyje po kawalersku, byłabyś więc u niego źle umieszczoną. Ateusze co prawda lubią wygódki, szukają li tego, co im sprawia przyjemność, ciężary zaś niedogodne, chętnie zrzucają na innych. Nie wierząc w życie pozagrobowe cóż naturalniejszego jak chęć uczynienia tej tu krótkiej pielgrzymki najszczęśliwszą? Muszę i to jednak wyznać, iż po tam tegoodmowie, jego brat, Ludwik, oświadczył się z gotowością wszelką zaopiekowania się tobą. Kazał ci powiedzieć, iż przyjmie cię chętnie do domu, da ci wikt i całe utrzymanie, z góry jednak zapowiedział, iż zostawia ci wszelką wolność wyboru, że nie myśli w niczem sprzeciwiać się twoim chęciom i zapatrywaniom.

— Matko! — szepnęła Jetta — błagam o radę... Co mam uczynić?

Matka Amelja zmierzyła ją wzrokiem surowym od głowy aż do stóp i odpowiedziała z gorzkim uśmiechem:

— Doprawdy, nadtoś dobra, iż mnie pytasz o radę! Któż ci staje na zawadzie? co cię wstrzymuje? Idź czemprędzej do twojego dziada, Ludwika Cantarel. Dom to wygodny, zasobny jak utrzymują, życie tam płynie wesoło. Przyjmią cię tam jak najlepiej, nie zaznasz nudów ani na chwilę, nie wspomną ci tam nigdy o Bogu. Za dni kilka zapomnisz o przeszłości; nie będziesz się tam troszczyła, iż matka twoja umarła w ramionach kochanka, że twój ojciec popełnił grzech samobójstwa. Jesteś śliczna, nie ma ci co zarzucić, chyba jedno ubóstwo, może im się uda wykręcić zkąd męża dla ciebie, a jeżelibyś się czuła nieszczęśliwą w stanie małżeńskim, znajdzie się zapewne jaki hrabia włoski, który w końcu ulituje się nad tobą.

Panna Maulabret spojrzała na tę straszną kobietę wzrokiem błagającym.

— Matko! ja cię o radę prosiłam. Powiedz, co byś ty uczyniła na mojem miejscu?

— Gdybym była w twojem położeniu — odpowiedziała zmieniając ton i wyraz twarzy — gdyby mnie spotkało tak wielkie nieszczęście, gdybym się dowiedziała, iż ci, których ukochałam, źle żyli i zeszli z tego świata, niczem win swoich nie zmazawszy i tak stanęli przed Bogiem, powiedziałabym sobie zapewne, iż ludzie światowi mają pewne względy dla syna bankruta, gdy ten majątek poświęca, aby spłacić długi swego ojca, ale ja będąc na twojem miejscu pamiętałabym wiecznie, iż mój ojciec i moja matka zeszli z tego świata, długu zaciągniętego nie uiściwszy i że wierzycielem jest Bóg! Ciężyłaby mi wiecznie i stała przed oczyma, plama na ich życiu, pragnęłabym obmyć ją w krwi Baranka bez zmazy, otrzymać dla nich miłosierdzie przez moje modlitwy, a łzami mojemi wykupić ich dusze, ofiarować Zbawicielowi moje cierpienia dobrowolne, jako zadośćuczynienie za grzechy przez nich popełnione.. Ale masz przecie spowiednika, jego się zapytaj. Co warte moje rady? Cóż ja znaczę na świecie? Z zakonnicą w szpitalu dzieje się to samo co z szybą w oknie; stłucze się, zastąpią ją inną.

Panna Maulabret oniemiała na krótką chwilę. Błądziła wzrokiem po białych ścianach celki szczupłej i ubogiej, w której się znajdywała. Na wzór matki Amelji i te ściany mówiły jej o Baranku bez zmazy, tylko zupełnie z innego tonu. Ściany tak przemawiały: — „Wyglądamy wprawdzie nagie i smutne, ale my jedne pragniemy twojego dobra, oswoisz się z nami, jesteśmy ci szczerze życzliwe, tu zatem pozostań“.

Wtedy uniesiona chęcią niepohamowaną, upadła przed ciotką na kolana, ucałowała z czcią kraj jej czarnej szaty i wykrzyknęła:

— Matko! ja chcę pokutować, będę pokutowała... Matko moja! chcę być tem, czem ty jesteś.

Na te słowa nieszczęśliwie dobrane, ta, która w świecie nic znaczyć nie miała, zakipiała gniewem podrażniona i dotknięta w swej pysze. Nozdrza jej się wydęły, głowę podniosła, brwi zmarszczyła i tonem wyniosłym, głosem szorstkim odrzuciła:

— Co ci też strzeliło do głowy, mościa panno?... A gdzież twój posag?...

I znowu uczuła, iż uległa pokusie, iż uniosła ją pycha szatańska. Zrobiła na czole, ustach i piersiach znak potrójny krzyża św. i tonem łagodniejszym, niemal z namaszczeniem, raczyła tłumaczyć tej młodziutkiej istotce nieświadomej i niewtajemniczonej, iż trzeba wyjątkowych okoliczności, łaski nadzwyczajnej, aby zostać Augustyanką bez posagu; może by zresztą dostąpiła tej łaski, może by raczono uwzględnić jej pragnienie, co by można uważać za szczęście niesłychane... że nowicyat w ich klasztorze trwa lat cztery, co nie jest wcale nadto długą próbą, aby pozyskać tytuł »*Matki wielebnej*« i mieć prawo noszenia czarnego welonu na białym czepcu. Do tych eksplikacyj wmięszała i słów kilka zachęty. Kazała jej się spodziewać, iż może pozwolą jej na nowicyat pod ciotki przewodnictwem, upominała ją, aby zbadała sama siebie do gruntu, nie taiła przed nią wcale, iż nie bardzo dowierza jej powołaniu. Prawiła o skutkach strasznych dziedzictwa, o przekleństwie bożem, które z rodziców spada na dzieci, a kreśląc przed nią obraz grzechów potwornych, które będzie musiała odpokutować, wlepiała w nią wzrok srogi, jak gdyby odkryła tylko co w głębi tych źrenic aksamitnych, w obecnej chwili patrzących niebiesko, pychę ojca, który się zabija i zmysłowość matki, która szuka szczęścia w ramionach hrabiego włoskiego. Biedna Jetta słuchała jej drżąc na całem ciele, z twarzą zbolałą i przerażoną Grzechy jej rodziców wsiąkły w jej ciało, w jej krew, czuła jak ich nieprawości po żyłach jej nurtują, upadała pod ciężarem przeszłości bez wyjścia i pod trwogą śmiertelną zemsty niebios. Zdawało jej się, iż najsprawiedliwiej by było, gdyby ją wyrzuono ze społeczeństwa wiernych, że nie ma prawa istnieć na świecie, że powietrze, którem oddycha, to dobro kradzione, lub jałmużna, za którą winna była dziękować na kolanach wiecznemu miłosierdziu, a chociaż radaby była zrobić się jak najmniejszą, chociaż zaledwie ośmieliła się odetchnąć, jeszcze się oskarżała, iż zawiele miejsca sobą zajmuje i za wiele wciąga w pierś powietrza.

Gdy matka Amelja uznała, iż jej dzika deklamacya, zrodziła owoce pożądane, przerwała nagle posłuchanie, wracając do codziennych obowiązków, a odprowadziwszy do bramy pannę Maulabret, rzekła jej na pożegnanie:

— Zastanów się dobrze. Wrócisz tymczasem do klasztoru, gdzieś się wychowywała, za dni kilka zgłosimy się tam po ciebie.

Nazajutrz Jetta pisała list tej treści do młodszego z jej dziadków wujecznych:

„Panie! Chciałeś się podjąć opieki nademną, za co Ci składam dzięki stokrotne. Szlachetny to był postępek, brać do domu biedną sierotę. Ofiarowałeś mi wspaniałomyślnie, miejsce przy Twojem ognisku, i tej łaski, póki życia nie zapomnę. Po strasznem jednak nieszczęściu, które mnie dotknęło, zdaje mi się, iż nie ma już dla mnie miejsca na świecie i pragnę gorąco wstąpić do klasztoru. Matka Amelja, moja ciotka, spodziewa się iż uzyska pozwolenie, abym mogła odbyć nowicyat, pod jej okiem. Ośmielam się sądzić, iż Pan pochwalisz mój zamiar, dla którego błagam Boga o błogosławieństwo. Chciej Panie przyjąć, wyrazy dozgonnej wdzięczności, od Twojej pokornej sługi Jetti Maulabret.“

Odebrała odpowiedź następującą, napisaną pół łokciowemi głoskami, kreślonemi ręką płomienistą i wojowniczą:

— „Wolno ci, moja Panno! Rób co się rzewnie podoba! Chcesz zostać bigotką zakapturzoną, bądź nią sobie! Spotka mnie wielkie nieszczęście, iż nie będę mógł

ulokować pod własnym dachem idjotki, która wierzy jak Ewangielją, w bajki bajeczne, opwiadane przez jej przezacną ciotunię! Postaram się znieść ten cios filozoficznie... dopóki jednak będziesz panna trwała w podobnym zamiarze, nie żądaj odemnie ani jednego centyma. Majątek zebrany w pocie czoła przez Ludwika Cantarel, nie posłuży nigdy do tuczenia czarnych zastępów!“

(Ciąg dalszy nastąpi)

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

Sam zostawszy, Hoche uporządkował na prędce smutny ubiór chorego i trwając uporczywie w powziętym zamiarze, bąknął scicha:

— Jeżeli w istocie jad śmiertelny, źródło życia zniszczy i zatruje, dowiem się przynajmniej, kto mi się tak przysłużył!...

Za chwilę wprowadzono więźnia do izby chorego.

Był to typ prawdziwy, najwierniejszy, magnatów tron niegdyś otaczających. Czystej krwi arystokrata.

Wytworny mundur wolontaryuszów z armii Kondeusza, odznaczał prześlicznie kibić gibką i wciętą Nogi iście kobiece, wąskie i zgrabne, mimo butów rycerskich z wysokiemi cholewami, stąpały lekko i elastycznie, zdradzając na pierwszy rzut oka nader małe rozmiary. Na ręce delikatne, białe, wypieszczone, spadały kaskadą manszety koronkowe, taki sam żabot drogocenny wychodził z po za kamizelki, niedbale na piersiach rozpiętej. Kapelusz rzucił pod ramię od niechcenia, włosy pudrowane były ułożone misternie *„á l'oiseau royal“*. Skoro wszedł, woń fiołków i konwalij rozeszła się po całej izdebce. Dodajmy do tego rysy drobne, oko duże, pełne ognia i odwagi, uśmiech czarujący, grzeczność wykwintną, z lekkim odcieniem wielko-pańskiej impertynencyi, a nawet gdy pora była po temu, postawę pełną szlachetności i powagi imponującej. Lauzun lub Richelieu nie byliby się inaczej przedstawili, w którymkolwiek z buduarów w Trianon.

Jednak ponieważ i rojaliści umieli uszanować bohatera Republiki, więzień powitał jenerała z najwyższym szacunkiem. Spostrzegłszy nieopodal panią Hoche, siedzącą z dzieckiem na łonie, oddał jej ukłon tak niski i ceremonialny, że i królowa mogłaby się nim była zadowolić.

— Panie! — chory rozpoczął, wpatrując się przenikliwie w oczy nowo przybyłemu — wzięto cię pod Dierdorf, walczącego w szeregach nieprzyjacielskich.. Wiesz zapewne co cię czeka?

Emigrant skinął głową potwierdzająco i rzekł:

— Jak widzisz panie jenerale, wystroiłem się stosownie do tej chwili ostatniej... Gdyby mi jednak wolno było błagać o jedną łaskę...

— O cóż takiego?

— Prosiłbym, żeby mnie nie odsyłać komitetowi rewolucyjnemu, który by mi kazał głowę uciąć. Mam wstręt nieprzezwyciężony do ohydnej maszyny doktora Guillotin!... Bądź więc łaskaw, panie jenerale, i każ mnie rozstrzelać po prostu, z oczami nie zawiązanemi.. Chciałbym zginąć, jak żyłem, po szlachecku, po żołniersku!

— Umrzeć? — chory potrząsł smętnie głową. —Także pan małą wartość do życia przywiązujesz?

— Ależ do stu katów! — młodzieniec zaprotestował energicznie — tak źle nie jest i miałbym przeciwnie cały szereg lat przed sobą, swobodnych i wesolo spędzanych... Zdrowie żelazne... usposobienie nader towarzyskie... Jestem właśnie jednym z tych, którzy nawet do lat sędziwych, okryci siwizną, potrafią jeszcze być młodymi!

— A z tego, co mogłem zauważyć, sądzę również — Hoche wtrącił — iż pan nie należysz do owych dzikich fanatyków, którzy aby dojść do celu, nie cofną się nawet przed środkiem najostateczniejszym. Nie zdajesz się palać bardzo srogą nienawiścią ani ku mnie, ani ku Republice

— Fe! cóż znowu! — emigrant strzepnął palcami. — Wiem przecie, że pan jenerał oszczędziłeś nie jednego z naszych, powstrzymując zawsze wybryki i chucie krwiożercze żołdactwa rozjuszonego. Czyż nie jesteś zresztą chwałą Francyi? Choćbym chciał, nie potrafiłbym cię nienawidzieć. Co się tyczy Republiki, skłamałbym udając dla niej wielką sympatję Musimy się jednak porozumieć. Byłem uczniem i zwolennikiem filozofów, a pospołu z La Fayette'm biłem się za niepodległość amerykańską. Dowód najlepszy, że nie należę do zacofańców. W samej jutrzence Republika i jej reformy, dość mi się nawet podobały. Jak tylu innych z dobrej woli poświęciłem na ołtarzu ojczyzny część większą należących mi się z prawa przywilejów i tytuły przez los ślepy do kolebki wrzucone i powitałem radośnie świt, wolność ogólną zapowiadający. Na nieszczęście dla nas wszystkich, targnięto się na głowę króla mojego, Boskiego pomazańca! O! bardzo przepraszam, ale tego mi było za wiele! Miejsce moje było w Wandei, później w Bretanji, gdzie bawiłbym się dotąd w *Chouan'a*, gdybyś nas nie był przepłoszył jenerale. Smutna to rzecz bardzo wojna domowa! Tam atoli obcy żywioł, nie występywał, tak jaskrawo, trzymał się więcej na uboczu Tutaj, szczerze wyznaję, z rumieńcem wstydu na czole i ciężkiem sumieniem, zobaczyłem się wciśniętym w szeregi tego całego poza-reńskiego tałatajstwa! Gdy brali górę nad wami, wściekałem się poprostu! Gdyście ich bili, a prawdę mówiąc i nam z nimi razem skórę trzepali, serce mało mi z radości nie wyskoczyło! Bądź jak bądź — myślałem w duchu — to Francuzi biją Niemców. A zatem górą nasi! Niech żyje Francya!

Hoche sam, zapominając z kim ma do czynienia, dał się unieść szczerym zapałem patryotycznym:

— Dobrze! Doskonale! — zawołał. — Szlachetne zasady! Wzniosłe uczucia!.. Panie, jesteś wolny!

Trzeba przyznać, że w każdym celu młodzian pysznie wyglądał. Jego postawa niedbale arystokratyczna i twarz uśmiechnięta, przybrały cechę dziwnie majestatyczną. Spoważniał, a oko wyraziste zdawało się ciskać pioruny. Był to godny następca rycerskich bohaterów z pod Fontenowy.

— Wolny! — wykrzyknął. — Wolny? — powtórzył uszom własnym nie wierząc — i bez żadnych warunków?

— A gdyby znalazł się jeden? — wtrącił wódz republikański.

— Jestem z góry przekonany, — rojalista skłonił się uprzejmie — iż jenerał Hoche nie mógł by mi nic takiego proponować, co by się nie zgadzało z prawami honoru

— A więc! żadnych warunków... coś lepszego. Oto proszę pana o przysługę.

— Mnie? Ah do kata! byłoby to szczęściem i najwyższym dla mnie zaszczytem. Drżę z niecierpliwości aby się dowiedzieć o co idzie.

— Znaleziono w pańskim kuferku ten oto list — Hoche podał mu papier, z rączek Jenny odebrany, adresowany do hrabiego Tankreda Gaillefontaine. — Czy tak się pan nazywasz?

— Tak jest, to moje imię i nazwisko.

— Chciej pan list odczytać. Proszę bardzo.

A gdy hrabia wziąwszy list, w milczeniu przebiegał papier oczami, dodał:

— Głośno, jeżeli łaska!

Hrabia wielce zaintrygowany, uczynił zadość chorego życzeniu i czytał słowa następujące:

„W obozie pod Montabeauer, 14. września.

Kochany Tankredzie!

„Musisz się również nudzić piekielnie i ziewać od ucha do ucha! Bogiem a prawdą wcale nie zabawni ci nasi poczciwi sprzymierzeńcy Niemiaszki! Przyjdźże hrabio do mnie na kolacyjkę, a postaramy się o trochę rozrywki. Pogawędzimy o naszej dawnej Francyi, o Versaille'u i Paryżu! Wróci tam napewno stary porządek, skoro z drogi uprzątniemy kilka żenujących nas osobistości, czego Anglia się podejmuje zapomocą Pitta eliksiru cudownego..."

Hoche wstrzymał czytającego:

— Eliksir Pitta? — powtórzył. — Nie raczyłbyś mi hrabio jaśniej tych słów wytłumaczyć?

Nikt by był w tej chwili nie poznał Tankreda. Stanął najprzód cały w płomieniach, następnie zbladł jak ściana i zmięszany najokropniej głowę opuścił na piersi.

Umierający naglił o odpowiedź.

— Jenerale! — westchnął hrabia, — widzisz przed sobą człowieka zrozpaczonego! Niechciej mię posądzać o wspólnictwo... nawet o myśli zbrodnicze!.. Szeptano wokoło mnie w sposób tajemniczy. Ciekawy z natury pytałem... badałem... Kazano mi przysiądz, że nie zdradzę tajemnicy. Nie mogę nic powiedzieć... przysiągłem!

Hoche brwi groźnie zmarszczył:

— A gdyby szło — wtrącił — o przeszkodzenie do spełnienia zbrodni?

— Przeszkodzić... czemu? — jąkał się hrabia, cierpiąc widocznie męki piekielne

Pani Hoche nie mogła stłumić w łonie rzewnej prośby i ze łzami w oczach zawołała:

— Oh! ratuj mi go pan! ratuj! na wszystko cię zaklinam!

— Jakto? Przed kim?

— Wszystko ci hrabio wyjaśnię — wmięszał się chory do rozmowy. — Niedawno temu odebrałem list anonim, w którym mi wskazywano sławnego doktora Herodjasa w Frankfurcie, gdzie mogę jedynie znaleść lekarstwo na moje straszliwe cierpienia Zacząłem pytać o niego. Był to rodzaj alchemisty, sławny na całe Niemcy; prosty szarlatan, jak utrzymywał mój lekarz przyboczny, odwodząc mnie siłą mocą, żebym się żyda nie radził. Tonący atoli brzytwy się chwyta! Pod pozorem rozrywki kazałem się zawieźć cichaczem do Frankfurtu w towarzystwie jenerała Humberta, mojego druha najwierniejszego, i wśród nocy stanąłem w dzielnicy żydowskiej Widziałeś pan może kiedy to stare domostwo drewniane, tak fantastycznie wyglądające przy świetle księżycowem? Tam mieszkał sławny Herodjas. Cisza była głucha w około, przerwana jedynie turkotem kół naszego powozu. Jedno, jedyne okienko słabo było oświetlone w jego pracowni. Zanim Humbert do bramy domu zapukał, sama się otworzyła, a na progu ukazał się maleńki kulawy człeczyna, istny djabełek oświadczając z góry: „Iż Mistrz czeka, ale przyjmie li tego, który rady potrzebuje." Musiałem zatem rozłączyć się z towarzyszem podróży i sam tylko przestąpiłem próg sanctuarium tajemniczego. Prawdziwa jaskinia, w której nie brakło ani jednego ze zwykłych akcesorjów i dekoracyi, używanych przez czarnoksieżników; był tam nawet olbrzymi puhacz legendowy! Można było uwierzyć, że się jest nagle przeniesionym do sławnego czarownika Merlin, lub do wielkiego Nostradamusa. Herodjas musi być do nich podobnym. Starzec tak zakapturzony i włosami obrośnięty, iż w głębi fotelu olbrzymiego w którem siedzi, spostrzega się zaledwie koniec nosa jak haczyk zagiętego, oczy zielonkowate i ręce chude a żółte jak wosk. Zresztą lampa starożytna z miedzi, oliwą nalana i wisząca u sufitu, bardzo niedostatecznie dużą izbę oświetlała. Wysłuchawszy, co mi dolega, obiecał lakonicznie, iż podejmuje się leczenia. Pierwsze jego mikstury, środki przygotowawcze, trochę mi ulgi przyniosły w rzeczy samej... Dochodzę do celu. Dziś ma mi przywieźć lekarstwo decydujące, ostateczne.. Pytam się więc hrabio, czy mam je wypić?

Tankred nie miał czasu odpowiedzieć. Zaturkotał powóz lecący galopem. Nagle turkot ustał przed domem.

Niemal jednocześnie drzwi otworzono, a na progu zjawił się jenerał Humbert, popychając kogoś przed sobą.

III.

Pożegnanie.

Humbert był synem wieśniaka; prosty szeregowiec został w lat kilka jenerałem, wśród walki nieustającej.

Wyniosłej postawy, waleczny i piękny jak Hoche, do którego był nawet z rysów trochę podobny, różnił się z nim najzupełniej co do wykształcenia umysłowego. Książki i pióro wstręt w nim i lęk niemal budziły, zaledwie umiał się podpisać.

W dodatku lubił szalenie przepych i wszelkie błyskotki, hafty, pióropusze — i teraz nawet prosto z drogi był w pełnej gali, a tak bronią rozmaitą obwieszony, jakby miał sam jeden pułk cały zaatakować.

Człowiek czynu zresztą i dzielna prawica, skoro cyjaś głowa nim kierowała; dla swojego wodza i przyjaciela najdroższego wyznawał cześć graniczącą z fanatyzmem.

— Przywiozłem sławnego astrologa! — krzyknął zaraz od progu. — Ano panie Mateuszu Laensberg ruszaj przed front

I ze zwykłą u niego porywczością i niepowściągliwością, odwrócił się, aby pochwycić za ramię tego, którego przed chwilą zapowiedział.

Był to, sądząc z pozoru, starzec mocno przygarbiony, z wzrokiem dziwnie przenikającym. Czapka futrem obłożona czoło zakrywając, aż do brwi sięgała, długa broda jak mleko biała, tak samo dolną część twarzy aż po oczy niemal osłaniała. Hałat z czarnej sajety, krojem żydowskim, bardzo obszerny, obwijał postać tajemniczą od głowy aż do stóp.

— Pamiętaj o naszej umowie! — pogroził mu Humbert. Jeżeli nie dotrzymasz obietnicy, biada ci! Ale gdyby

z twoją pomocą nasz wódz ukochany zdrowie odzyskał, oddam ci wszystko co posiadam, nawet te dwa pałasze, które mi Konwent przyznał i za waleczność ofiarował Dość jednak tej paplaniny. Dalej bratku pokaż twój sławny eliksir!

Na te słowa, pani Hoche rzuciła się do męża, który dłoń jej lekko uścisnął, jakby chciał powiedzieć:

— Nie lękaj się niczego!.. pamiętam!...

A wpatrując się badawczo w szarlatana, który przewracał i szperał w wielkiej torbie skórzannej, starej i obdartej:

— Jegomość dziwnieś zmężniał i urósł, od czasu jakieśmy się nie widzieli — przemówił z niedowierzaniem, — a twoje oczy przy bladem lampy światełku, nie miały tyle życia co teraz w blasku słonecznym.. Ale mniejsza o to!.. byle twoja mikstura uwolniła mię od wszelkich cierpień.. Wszak to ma być ów eliksir cudowny, nieprawdaż?

Żyd skłonił głową potwierdzająco. Znalazł wreszcie flaszeczkę, której szukał. Flakonik był z kryształu najczystszego zaśrubowany hermetycznie, okuciem ze stali.

Humbert wyrwał go z rąk żyda i podał jenerałowi, który teraz oka nie spuszczał z Tankreda.

Młodzieniec pod grozą tego spojrzenia usuwał się w głąb coraz bardziej zmięszany niesłychanie.

Hoche flakonik odkorkował.

Zanim miał jednak czas do ust go ponieść, hrabia skoczył ku niemu nie mogąc dłużej stłumić w łonie głosu sumienia.

— Panie jenerale! — zawołał — pytałeś mię przed chwilą czem jest eliksir Pitt'a, trzymasz go w dłoni... Nie pij, jeżeli ci życie miłe! Niech djabli porwą moją przysięgę! Nie mogę przecież zostać wspólnikiem trucicieli, dybiących na życie człowieka szlachetnego, który mnie od śmierci uratował i tak wspaniałomyślnie wolnością obdarzył!

Na to odkrycie niespodziewane dla wszystkich, prócz może dla tego, którego się głównie tyczyło, wszyscy na razie skamienieli.

Humbert pierwszy odzyskał przytomność, rzucił się wściekle na mordercę:

— Do stu piorunów! — ryknął strazsliwie — i to moją własną ręką chciałeś go łotrze zabić?

— Ani mi się tknij tego człowieka! — Hoche odezwał się tonem rozkazującym — zakazuję ci, rozumiesz?

Mrucząc gniewnie, Humbert usłuchał, podobny był jednak do owych warczących brytanów, które choć ich się chwilowo odsunie od zdobyczy upatrzonej, nie spuszczają z niej oka, gotowi poszarpać ją w kawałki.

— Dzięki ci hrabio! — Hoche dłoń wyciągnął do Tankreda. — Spodziewałem się tego po tobie!

A zwracając się ku temu, którego napój zabójczy go ominął, zapytał:

— Nie jesteś więc żydem Herodiasem?

— Nie! — truciciel z dumą odparł. — Odzienie, które od niego kupiłem, ukrywa zupełnie kogo innego.

— Kim że jesteś?

— Anglikiem... pułkownikiem Armstrong.

A rzucając gwałtownie czapkę futrzaną i brodę przyprawioną, wyprostował się jakby stał przed frontem pułku swojego. Był to jeszcze człowiek młody, o fizjonomii wojskowej, rysów ostrych, z wzrokiem zuchwałym i nieubłaganym. Włosy rudawe, krótko nad czołem przystrzyżone, i twarz cała, przypominała głowę okrągłą Cromvell'a.

Między widzami tej sceny, nastąpiło nowe poruszenie.

Wszedł doktor Poussielque. Wziąwszy z rąk Hoche'a flakonik poszedł z nim pod okno i wlał kropel kilka z niego do szklanki z innym płynem, badając z pomocnikiem jaką barwę płyn przybierze.

Hoche pytał dalej zbrodniarza:

— Jaki cel miałeś i co cię popchnęło na drogę występku nikczemnego?

— Miłość ojczyzny! — Anglik wyniośle odpowiedział — Myśl twoją zrozumiałem, krok w krok za tobą postępywałem podczas przygotowań i zbrojenia się, aby wyruszyć na pomoc Irlandji... To byłoby Anglji zagładą! Nie zwierzając się zatem nikomu, nie licząc na żadną nagrodę, chciałem kraj mój od ciebie uwolnić.

— Za cenę życia własnego?

— Z góry byłem przygotowany złożyć je w ofierze. Umrę spokojny i zadowolony.

— Nie udało się jednak?

— Powiodło się najzupełniej! Przypomnij sobie tylko ucztę w Brest...

Było to w Brest, jak wiemy, gdzie Hoche uczuł pierwsze groźne symptomaty cierpień dziwnych i niewytłumaczonych.

— Przypominam sobie, i rozumiem! rzekł półgłosem. śmierć nie dość szybko przybywała, trzeba więc było dozę powtórzyć!

— Każdy służy krajowi jak może i jak sprawę pojmuje. — Anglik kończył. — Głównie tu o cel idzie. Stokroć ten szczęśliwszy, który może dojść do niego, nie rozminąwszy się z prawami honoru!

Lekarz po ścisłym rozbiorze trucizny, zbliżył się do łoża chorego.

— I cóż? spytał umierający. — Co mówisz przyjacielu, na Pitt'a eliksir?.. Wszak zabija na pewno, nieprawdaż? To, co było dla ciebie niepojętem, teraz łatwo wytłumaczyć... Mów bez ogródki. Ile mi jeszcze czasu pozostaje?. Czy mam liczyć życie na dni, czy już tylko na godziny?

Lekarz miał łzy w oczach. Za całą odpowiedź, głowę na piersi opuścił i wyszedł krokiem chwiejnym, niepewnym do izby przyległej.

Pani Hoche nie mogła stłumić krzyku, pełnego rozpaczy. Porwawszy dziecię na ręce, uklękła obok łóżka, zasyłając do Boga modły rzewne, błagalne, jako do ostatniej ucieczki nieszczęśliwych, którzy nie łudzą się już choćby najsłabszym promykiem nadziei.

Umierający twarz zasłonił oburącz. Gdy po chwili ręce opuścił, dziwne przemienienie nastąpiło. Wyraz jego twarzy był spokojny, jakby rozanielony. Gotował się na śmierć z odwagą i rezygnacją.

— Uporządkujmy nasze sprawy — rzekł tonem uroczystym — od ciebie zaczynam, pułkowniku Armstrong... Twój dziki patryotyzm zmylił szlak. Nie jestem bynajmniej Anglji nieprzyjacielem, tylko rządu angielskiego przeciwnikiem. W dniu, kiedy dwa wielkie narody Zachodu dłoń sobie pododzą na sojusz, wtedy dopiero sprawa wolności w całym blasku zajaśnieje. Oby to chcieli zrozumieć twoi ziomkowie!.. Możesz wracać spokojnie do Londynu panie pułkowniku... wszystko ci przebaczam...

A wstrzymując ruchem energicznym Humberta wykrzyknik, dodał zwrócony do Tankreda:

— Panie hrabio, odprowadź łaskawie pułkownika do powozu... Życzę sobie, aby go wolno puszczono... skoro odjedzie, chciej wrócić do mnie... Być może iż jeszcze będę miał cię o coś prosić...

Tankred zniknął za drzwiami wraz z trucicielem, który szedł teraz z głową spuszczoną i z rumieńcem wstydu na czole.

Gdy Anglik wsiadał do powozu, Tankred dotknął się zlekka jego ramienia i, rzekł z grzecznością wyszukaną:

— Na słówko, jeżeli łaska panie pułkowniku!

To słówko zamieniali cichuteńko. Nikt tego nie słyszał.

Humbert mimo zakazu drgnął i spojrzał na drzwi, akby chciał się rzucić w ślad za Anglikiem.

-- Zostań — Hoche schwycił go za rękę — nie na tym człowieku, ale na jego mistrzu, pomścisz śmierć moją! Pitt'a piętą Achillesową jest Irlandja! Tem tylko można go zranić śmiertelnie! Przypomnij sobie ów dzień, kiedyśmy ją zdala ujrzeli, dotknęli się niemal brzegów tej biednej ziemi męczenników. Słyszałem krzyki błagalne jej dzieci uciemiężonych, chciałem zerwać krępujące ich łańcuchy! Burza mi w tem przeszkodziła. Burza i zdrada haniebna... Oh! ta zatoka w Bantry... Zmuszony wrócić się nazad na pełne morze, płakałem jak dziecko bezsilne... Obiecałem solennie nie dać za wygranę... Wszystko było gotowe do powtórnej wyprawy. Przed kilkoma dniami właśnie przewódcy Irlandczyków połączonych, przypomnieli mi przysięgę w ich ręce złożoną... „Śmierć jedna może mię od niej uwolnić — odpowiedziałem im bez wahania. — W tym razie atoli mielibyście jenerała Humberta czyli mię samego, w drugiem wydaniu!

Przygotujcie się tylko i zaopatrzcie w broń cichaczem ten lud wasz nieszczęśliwy, w niewoli jęczący, który chce raz zrzucić z karku jarzmo sromotne. Skoro wylądujemy niech powstanie jak jeden mąż. Połączonemi siłami zdusimy i ubezwładnimy naszego wroga wspólnego, Anglję!“

Hoche był wspaniały, zapałem uniesiony. Po chwili mówił dalej:

— W tych papierach znajdziesz wszystkie moje instrukcje i list polecający do Dyrektoryatu. Gdyby ci dali tylko te dwa pułki z armii *Sambre et Meuse*, które są już w pochodzie, nie wahaj się ani chwili, druhu kochany, tylko wsiadaj z tą garstką na okręty. Krocie mścicieli połączą się z tobą. Idzie głównie o pospiech. Drżą bowiem z niecierpliwości a podstępność Wielkiej Brytanji, podnieca w nich żądzę buntu, wiem o tem napewno. Chcą aby rzucili się do broni, nim zdążymy im na pomoc. Póki nasze sztandary nie powieją na ziemi irlandzkiej, ani jeden człowiek ruszyć się tam nie powinien! Śmierć moja nie może im służyć za sygnał rokoszu, muszą dostać jak najrychlej moje hasło ostatnie: Czekać! czekać cierpliwie, na wylądowanie jenerała Humberta!... Ten rozkaz, od którego zawisło sprawy całej powodzenie, zawiezie im człowiek zasługujący na moje zaufanie... Dziś rano jeszcze się za nim oglądałem, obecnie znalazłem go, myślę przynajmniej...

Przed chwilą Tankred wszedł był napowrót do izby chorego.

— Słyszałeś hrabio? — Hoche spojrzał na niego przenikliwie. — Czytam w oczach twoich, żeś myśl moją zrozumiał. Czyż ta misya nie urzeczywistni tajemnych życzeń pańskich, służenia Francji, po za szeregami jej urodzonych nieprzyjaciał?

— Panie jenerale! — skłonił się Tankred. — Dzięki stokrotne, iż raczyłeś mi zaufać... Do kogo mam się udać? Kiedy mi każesz wyjechać?...

— Zaraz jutro. Tytuł emigranta, ułatwi panu przejazd przez Anglję.

— Doskonale! — zdradził się hrabia mimowoli. — Wyznaczyłem właśnie *rendez vous* w Londynie...

Pomiarkował się ale za późno. Umierający odgadł cel schadzki.

— Masz się pan tam spotkać z pułkownikiem Armstrong, nieprawdaż? — potrząsł głową. — Oh! nie zapieraj się hrabio!... Poznałem cię nadto dobrze i wiem, iż nadaremnie starałbym się odwieźć cię od zamiaru szalonego!... Proszę tylko o tem pamiętać, iż póki misji nie spełnisz, nie masz prawa sobą rozporządzać, i więcej sam do siebie nie należysz!

— Dobrze panie jenerale! Subordynacja przedewszystkiem!.. Potrafimy się do rozkazu zastosować... Ale co się odwlecze..

— Udasz się hrabio prosto do Irlandji. W wojnie amerykańskiej musiałeś zapoznać się z Irlandczykami?

— W rzeczy samej... z lordem Fitz-Gerald, naprzykład...

— Fitz-Gerald?.. Zacna to dusza! List atoli, napisany dziś rano, nosi adres do O'Connor'a... oto jest.. weź go pan... Musisz się naprzód widzieć z O'Connor'em... Jemu jak i lordowi Fitz-Gerald, i wszystkim ich zaufanym, powtórzysz czegoś dzisiaj był świadkiem naocznym... Idzie o wyswobodzenie ich ojczyzny. Niech nie tracą nadziei, ale niech czekają chwili sposobnej... Oh! nie trudno ci się będzie porozumieć z Irlandczykami połączonymi, to prawdziwi rycerze.

— Masz moje słowo panie jenerale. — Tankret zakończył. — Jeszcze raz dzięki stokrotne!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy).

„Wszystko tam było lepsze niż gdzieindziej“ — dowodzi z rozrzewnieniem podczas pobytu na Ś. Helenie. — Ziemia nawet posiadała woń zupełnie odrębną, nigdzie niespotykaną, poznałby ją też z zamkniętemi oczami po tym zapachu, który dziś czuł jeszcze. Oczyma duszy odtwarzał pierwsze przebyte tam lata, młodość spędzoną wśród przepaści, na szczytach wyniosłych i w głębokich dolinach, owe wycieczki czarowne wzdłuż wązkich przesmyków i gościnność, udzielaną chętnie przez krajowców... Traktowany wszędzie jak rodak, jak brat prawie, nie potrzebował ani razu żałować okazanego zaufania, nigdy bowiem nie spotkał go żaden przykry wypadek, nie dosięgła najlżejsza nawet zniewaga. Dość powiedzieć, że w Bocognano, „gdzie prawo nienawiści i zemsty przechodziło w spadku do siódmego pokolenia, a posag młodej dziewczyny oceniał się według liczby jej krewnych, by-

*

łem tak podejmowany i czczony, iż mieszkańcy chętnie życie poświęciliby dla mnie.“

Zamieniony przymusowo we Francuza, przeniesiony na grunt obcy i wychowany w szkołach francuzkich na koszt króla, zasklepiał się dobrowolnie w patryotyzmie wyspiarskim, chwaląc głośno Paoli'ego, przeciwko któremu rodzice jego awnie się oświadczali. „Paoli wielkim był człowiekiem“ — dowodził, — „a przytem tak dobrym synem ojczyzny, tak kochał kraj swój, iż nigdy nie przebaczę memu ojcu, że jako jego adjutant wpływał na przyłączenie Korsyki do Francyi; powinien był pozostać wiernym mu w niepowodzeniu i zginąć z nim razem.“ Słowa te tłumaczą poczęści, dlaczego przez cały czas pierwszej młodości pozostał w głębi serca wrogiem Francuzów, ponurym, skwaszonym nieprzychylnym dla otaczających i mało lubianym. ofiarą uczuć bolesnych, właściwych zwyciężonym, którzy, pomimo klęski doznanej, muszą się nagiąć do nowych warunków i służyć dalej. W Brienne nie bywał nawet u kolegów, a unikając wspólnych z nimi rozrywek, zamykał się podczas rekreacyi w bibljotece. Jednemu Bourrienne przypadały w udziale burzliwe i nienawistne jego zwierzenia: „Dam ja się we znaki twoim Francuzom!“ — „Korsykańczyk urodzeniem i charakterem“ — pisał o nim profesor historyi w szkole wojskowej, — „zajdzie daleko, jeżeli tylko okoliczności sprzyjać mu będą.“

Stojąc, po ukończeniu nauk, garnizonem w Walencyi i Auxonne, zdawał się jeszcze obcym, nieprzejednanym. Stare urazy palą mu ciągle duszę, chcąc im też przynieść ulgę, wynurza żale swe w liście do Paoli'ego. „Urodziłem się“ — pisze, — „gdy ojczyzna ginęła. Trzydzieści tysięcy Francuzów, wyrzuconych na nasze brzegi, nurzało tron i wolność Korsyki w potokach krwi jej synów. Smutnym był, zaiste, widok, uderzający po raz pierwszy me oczy. Krzyki umierających, jęk uciśnionych, boleść śmierci i łzy rozpaczy otaczały kołyskę mą naprzemian. Mam więc prawo naznaczyć piętnem podłości tych, którzy zdradzili sprawę narodową, których nikczemne dusze nie umiały się oprzeć ponęcie pewnego zysku.“ Odezwa, skreślona znacznie później do Buttafuoco, członka zgromadzenia konstytucyjnego i głównego stronnika francuzkiego zaboru, iest jednym wybuchem strasznej, długo tłumionej nienawiści, która, ukryta najpierw pod zimnym sarkazmem, wybucha wreszcie, jak lawa rozpalona, ognistym i wrzącym potokiem obelg okrutnych Od piętnastego ro'u życia, w szkołach jeszcze, a później w pułku, wyobraźnia jego młodzieńcza żyła tylko przeszłością wyspy ojczystej. Przykuty do ziemi francuzkiej, duchem pozostaje jej obcy i ucieka ciągle pod ukochane macierzyste swe niebo. Nie mogąc tam powrócić, pisze przynajmniej o Korsyce, a książkę swą w braku druku posyła Paoli'emu, streszczenie jej zaś poświęca ks. Raynal. Trzeba czytać krótki ten zarys, aby przekonać się, z jak gorącą miłością, z jak namiętnem uniesieniem opowiada w pełnych zapału słowach dzieje małego swego narodu, bunty jego, walkę ciągłą o niepodległość, zwycięztwa chwilowe, gwałtowne, przez ognisty temperament podyktowane bohaterstwa, tragedye, klęski krajowe i prywatne, zasadzki, zdrady, zemsty i morderstwa, — jednem słowem, historyę, przypominającą dziwne opowieści o klanach górskich w Szkocyi Gorączkowy, ogniem miłości przejęty sposób pisania, zarówno jak styl i język, zdradzają w książce kreślonej po francuzku obcego, cudzoziemca. Nie jego to zresztą wina; w dziełku tem, jak i we wszystkich pracach młodzieńczych Napoleona, znać wpływ modnych ówcześnie autorów. Młodziutki i niedość samodzielny, naśladuje widocznie Rousseau'a i Raynal'a; ztąd te napuszyste zwroty, ztąd sentymentalne uniesienia. Równocześnie jednak szata zapożyczona krępuje go; zanadto wytworna i delikatna, ze zbyt wykwintnej uszyta materyi, krępuje mu ruchy, odbiera swobodę, wymagając ostrożnych giestów modnisia salonowego. Gwałtowny z natury, nie umie się zastosować do miary szablonowej, ztąd też za każdym krokiem toga literata marszczy się na nim, lub niepotrzebnie rozszerza, aż wreszcie, rozsadzona potęgą organizmu, na wszystkich, nagle szwach pękać zaczyna Nietylko nie zdołał nigdy nauczyć się ortografji francuzkiej, ale — co więcej — nie zrozumiał języka, nie pojął ducha jego; znaczenie niektórych wyrazów, siła określeń, zawisłość zdań od siebie, piękność obrazów i zwrotów znanych ogólnie, doniosłość wreszcie przenośni — to dla niego kraina nieznana. Uniesiony zapałem, pędzi gwałtownie, posługując się całym szeregiem nielogiczności gramatycznych, italianizmów i innych barbaryzmów, pędzi, potyka się już-to przez niezręczność lub brak doświadczenia, już przez nadmiar ognia i zapału, porywającego go co chwila Myśl jednak ożywiona namiętnem uniesieniem nie zatraca się tu nigdy, przeciwnie — urywana, gorączkowa, wybuchami samemi zdradza podniesioną do wrzenia temperaturę źródła, z którego wypływa. W szkołach jeszcze, profesor literatury, dający mu lekcye, mawiał zawsze, iż: „dziwaczne i niepoprawne, lecz pełne podniosłych myśli ćwiczenia Napoleona, przypominały mu kawał surowego granitu, wulkanicznym ogrzanego płomieniem.“

Patrząc na nadzwyczajną wrażliwość młodego chłopca, na umysł oryginalny, a tak różny od otaczających go wpływów i towarzyszy, można było z góry przewidzieć, iż idee, wstrząsające światem współczesnym, nigdy nad nim nie pozyskają przewagi. Z dwóch wybitnych a przeciwnych i wrogich sobie kierunków, Bonaparte do żadnego nie należy, jak kolwiek oba zaliczają go do swoich stronników. Pensjonowany przez króla — który, utrzymując go na swoim koszcie w Brienne naprzód, a później w szkole wojskowej, kształci równocześnie jego siostrę w Saint-Cyr i obsypuje od lat dwudziestu dobrodziejstwami całą jego rodzinę, — młody cudzoziemiec pisuje do niego w imieniu matki listy błagalne lub dziękczynne, lecz równocześnie nie uważa go nawet za swego wodza; nigdy też nie przychodzi mu na myśl dobyć szpady w jego obronie, lub zaliczyć się do sprzymierzeńców korony. Napróżno nadano mu tytuł szlachecki, napróżno kształcono w szkole kadetów, — brak tradycyj szlacheckich i monarchicznych na każdym zdradzał się kroku. Ubogi, a dręczony niepomierną ambicyą. czyta Rousseau'a, ucieka się do opieki Raynal'a, przyswaja sobie zasady filozoficzne, mówi nawet żargonem swego czasu, nie wierząc równocześnie w cały ten pusty aparat. Modne zdania są tylko szatą akademicką dla jego pojęć, jak gdyby czerwoną czapką klubowców, złem nieuniknionem chwilowo; umysł to zbyt bystry, aby go mrzonki demokratyczne olśnić zdołały; myśl o właściwej rewolucyi i wszechwładztwie ludu wstrętem go przejmuje Podczas gdy walka dwóch potężnych idei wre i kipi w Paryżu, przyszły geniusz, w tymże 1792 roku, rozmyśla nad wynalezieniem korzystnej jakiej spekulacyi i między innemi, projektuje wynajmowanie domów, któreby później mógł wydzierżawiać drożej płacącym sublokatorom. Zimna krew i obojętość nie opuszcza go ani na chwilę; 20 czerwca towarzyszy w roli prostego widza tłumom napadającym na Tuilerye, ujrzawszy zaś w oknie króla, w czerwoną czapkę przybranego, woła dość głośno: *Che coglione!* — poczem poprawia się: „Po co tu wpuszczono tę hołotę? Należało zmieść czterystu lub pięciuset armatami, reszta samaby

uciekła." Na odgłos dzwonu w dniu 10 sierpnia, wzgarda jego dla króla i narodu równoważy się zupełnie; podąża do jednego z przyjaciół i ztamtąd przygląda się do woli szczegółom całej zawieruchy. Gdy zdobyto wreszcie zamek, przebiega Tuilerye i sąsiednie kawiarnie, aby przyglądać się wszystkiemu ciekawie, ale tylko przyglądać się — nic więcej; nie bierze go bynajmniej ochota przyłączenia się do jakiegokolwiek stronnictwa, nie okazuje żadnych sympatyj, jakobini i rojaliści są mu zarówno obojętni. Rysy jego nawet tak dalece nie zdradzały wzruszenia, tak były spokojne iż ściągało to nań wejrzenia niechętne. bano się bowiem czy to nie jaka podejrzana osobistość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWIE MOGIŁY.

(Wspomnienie.)

I.

Bogate żniwo zbiera śmierć w tym roku. Dzień prawie nie minie bez dzwonu żałobnego. Usiadłem wczoraj i zacząłem liczyć. Rok się jeszcze nie skończył, a z grona bliższych znajomych, przyjaciół i krewnych musiałem już wykreślić osób szesnaście, między temi ojca i matkę. Jak to boleśnie! W latach młodzieńczych, na ławach szkolnych, łatwo się nawiązują węzły przyjacielskie, ale gdy raz miniemy dantejską połowę żywota ludzkiego, jak trudno wtedy o nowych przyjaciół. Utrata też każdego z dawniejszych, to klęska niepowetowana, bo z nim ubył człowiek, który nas znał, serce które nas kochało, dusza, która nas rozumiała. Świat wprawdzie wciąż się odnawia i na mogiłach jeszcze nie zadarnionych ludzie kolebki stawiają, dokoła życie wre i kipi jak dawniej, ale ci, co po nas przychodzą, inaczej już myślą i czują niż my i widząc pierwsze siwe włosy na naszych głowach, wołają: „Wyście już przebiegli życia połowę, wyście już starzy! Ustąpcie się więc nam, młodym, bo my prędzej i lepiej niż wy świat udoskonalim i ludzkość tam wzniesiem, gdzie prawda króluje!" Dobrze, ustąpimy się, dziś lub jutro nowi ludzie przyjdą na nasze miejsce, jak my będą się szamotali i jak my błądzili, póki nowa fala i ich nie zaleje, a oni nie staną u wrót wieczności. A gdy ich ręce nie będą więcej mogły udźwignąć ani lemiesza, ani miecza, ani księgi ani pióra, wtedy wzrok tęskny za siebie rzucając, tak samo jak my dziś zapytają: Zkądeśmy przyszli? Na cośmy żyli? Dokąd idziemy? O wielka życia zagadko!

Smutno mi, bo w orszaku zmarłych w tym roku znajomych widzę dwóch, których śmierć dotknęła boleśnie całe nasze społeczeństwo, gdyż tam, gdzie oni żyli, nieprędko ich kto zastąpi. Mieszkali prawie na dwóch krańcach Europy, nie wiem czy się kiedy widzieli, a jednak była nić co ich w jedną całość łączyła — miłość ziemi ojczystej. Znałem ich obu, pisywaliśmy nawet do siebie i miłe po obu zostało w mej duszy wspomnienie.

Pierwszy to ś. p. Władysław Bentkowski, drugi to Henryk Groppler. Pierwszy mieszkał w Poznaniu, drugi w Carogrodzie.

Bentkowskiego poznałem lat temu dziewięć, gdym pierwszy raz do Wielkopolski przyjechał. Bawiłem wtedy w Żelicach u ś. p. Nieżychowskiej, u której przebywał chwilowo jej prawnuk, malutki Hipcio, wnuk Hipolita Cegielskiego, a syn Stefana, dzisiejszego posła z miasta Poznania do parlamentu niemieckiego. Bentkowski nie był już wtedy młody, lat miał przeszło sześćdziesiąt i chociaż mnogość zajęć niebardzo mu na to pozwalała, zrobił kilkonastomilową wycieczkę z Poznania do Żelic, jedynie w tym celu, by wnuka swego przyjaciela zobaczyć w dzień jego imienin i zabawkami go obdarować. I widziałem wtedy jak malca brał na ręce, jak go pieścił i całował, jak z nim po ogrodzie biegał, jak mu pokazywał kolej żelazną, która dzięki misternej sprężynie, sama się poruszała, potem małego niedźwiedzia, który paszczę otwierał i jak wieczorem sam sztuczne ognie zapalał. A mały Hipcio obejmował go za szyję i całował, bo serdeczny druh jego dziadka był mu sam jakby dziadkiem.

Ongi widziałem go przelotnie, ledwie kilka godzin, a zbliżyłem się doń dopiero przed czterema laty, gdy w zamiarze lepszego przypatrzenia się społeczeństwu wielkopolskiemu, dłużej bawiłem w Poznaniu. Mieszkałem wtedy w gościnnym domu p. Stefana Cegielskiego, w którym i Bentkowski stale przebywał. Widywaliśmy się codzień dwa razy: przy obiedzie i herbacie, niekiedy wychodziliśmy także do miasta na przechadzkę. Piękna to była postać i dziwnie ujmująca. Słuszny, szczupły, drobnych, ale ostrych rysów twarzy, trochę śniady. Na pierwsze wejrzenie nic w nim nie znamionowało człowieka wybitnego Dopiero gdyś mu w oczy spojrzał, czułeś, że masz przed sobą męża miary niezwykłej. Wzrok jego był bystry, przenikliwy i bardzo rozumny. Mówił poważnie, spokojnie, nikomu swego zdania nie narzucał. a gdy więcej było osób, wolał milczeć niż mówić. Nieraz też musiałem go gwałtem na słowo wyciągać, gdyż zawsze miał coś ważnego do powiedzenia, ale się z tem drożył, jak ze skarbem, z którym nie chciał się z nikim dzielić. Jak wielka różnica zachodziła między nim, a drugą wybitną osobistością wielkopolską, ś. p. Władysławem Niegolewskim! Z Bentkowskim rozmawiałem dłużej pewnego dnia popołudniu, z Niegolewskim tegoż dnia wieczór. Pierwszy mówił o wszystkich, tylko nie o sobie — drugi o nikim, tylko o sobie. Pierwszy prawie nigdy nie wspominał o swoich czynach — drugi dla wszystkiego. co kiedykolwiek w życiu swojem zrobił, lub chciał zrobić, nie miał dość słów pochwały. Pierwszy mówił otwarcie, że rolę swoją uważa oddawna za odegraną — drugi jeszcze na pół roku przed śmiercią usiłował całemu narodowi narzucić swoje zdanie i gniewał się, że go nie chcą słuchać...

Oto przykład wymowny, jak Bentkowski umiał być skromny.

Gdy „Dziennik Poznański" wydał lat temu kilka wspaniały numer jubileuszowy, wtedy każdy z przyjaciół tego pisma zamieścił w nim dłuższy lub krótszy artykulik. Bentkowski, w latach ostatnich, rzadko brał pióro do ręki, ale uproszony przez redakcyę, musiał coś napisać. Skreślił tedy wspomnienie z kampanji węgierskiej z r. 1848, w której czynny brał udział. Stylem potoczystym a dziwnie ujmującym opowiedział, bez zwrotów krasomówczych, jak jenerał Wysocki, do Turcyi ustępując, zostawił go z kilku działami w wąwozie Teregowy i kazał mu w tem miejscu, aż do odwołania, bronić przystępu nieprzyjacielowi. Bentkowski stał trzy dni i choć austryacy ze wszystkich stron go opasywali, a właśni jego podkomendni buntować się zaczęli, dopóty nie ustąpił, póki Wysocki, przypomniawszy go sobie nareszcie, nie przysłał mu rozkazu odwołującego go z niebezpiecznego stanowiska. W ślicznym tym obrazku autor nie myślał o wywołaniu jakiegokolwiek efektu, niebezpieństwa nie malował barwami jaskrawemi, ani zasług swoich pod niebiosa nie wynosił, a mimo to czytający zamyka książkę w przekonaniu, że młody porucznik, umiejący tak sumiennie spełniać swój obowiązek, mógłby wśród sprzyjających okoliczności zostać na-

wet bohaterem. Gdym o tem „Wspomnieniu“ mówił z p. Sterfanem Cegielskim, tenże rzekł:

— Śliczna rzecz. Lecz czy dałby kto temu wiarę, że pan Bentkowski, mimo iż w domu naszym mieszkał od lat tylu i jam się pod jego okiem wychował, nigdy, nawet w gronie poufnem, nie wspominał o tym czynie? Zaiste, jest to skromność, posunięta prawie do przesady.

W dalszej rozmowie położyłem nacisk na jego wojskową akuratność. Na to rzekł pan Cegielski:

— Istotnie jest to żołnierz nawskróś honorowy i akuratny. Tej też jego cnocie fabryka moja zawdzięcza głównie dzisiejsze swoje powodzenie. Gdy po śmierci nieboszczyka mego ojca, p. Bentkowski objął nad nią zarząd, trudności miał z początku do zwalczenia, gdyż w fabryce pracuje około 500 robotników, mimo to podołał on wszystkiemu, dzięki jedynie wytrwałej pracy i wojskowej akuratności, nieskazitelna zaś jego prawość to zdziałała, że od lat już wielu fabryka moja jest pierwszą w kraju.

Przechadzając się z nim po mieście, widziałem, z jakim szacunkiem wszyscy mu się kłaniali, a z jakim pietyzmem zbliżali się do niego. Nawet niemcy czcili w nim wielki charakter. Polacy zaś mówili o nim:

— To nasz Kościuszko!

Raz, przy czarnej kawie, wszcząłem z nim dłuższą pogawędkę, a że przedewszystkiem chciałem się wtedy dowiedzieć, dla czego większa własność w Poznańskiem upada, więc tok rozmowy skierowałem na ten przedmiot. Teraz powtórzę prawie dosłownie, com wtedy z jego ust usłyszał:

— Ach panie — rzekł — dużo się o tem i pisze i mówi tymczasem prawda leży jak na dłoni. Ciężko nam tu, rząd dokucza nam gdzie i jak może, stosunki agrarne psują się wszędzie, a więc i u nas, ale z tem wszystkiem odpowiedzialność za to, co się dzieje, w największej mierze spada na nas samych. Życie nad stan, oto cała nasza choroba. Szlachcic, mający wioskę obdłużoną do trzech czwartych, nie chce o tem pamiętać, że właściwie jest on tylko biednym dzierżawcą, który powinien sobie wszystkiego odmawiać i żyć mało lepiej niż prosty wieśniak. Jemu zachciewa się powozów, koni cugowych; synów wychowuje na paniczów, córki na panny, mające być ozdobą salonów, w lecie jeździ do wód, w zimie do Poznania na karnawał i przy lada sposobności spija z przyjaciółmi tak zwaną „bolkę“ na którą prócz szampana składa się wiele innych kosztownych ingredyencyj. Kto tak żyje, ten prędzej lub później musi niemcowi swoją ziemię odstąpić. Lecz z drugiej strony, czy myśmy temu winni? Zdaje mi się, że nie. My, szlachta, mamy niestety zamiłowanie do życia nad stan w n szej krwi. Ja sam nie umiem być tak oszczędnym, jakbym nim może być powinien.

— Jeśli cała szlachta tak tu żyje — przerwałem — natenczas cała zginie.

— Na szczęście nie cała, są i między nią wyjątki, i te się utrzymują; zaraz panu powiem, jak wygląda jeden z takich wyjątków. Niedawno temu, wziąwszy w mieście dorożkę, udałem się z dziećmi pewnego przyjaciela za miasto, by im pokazać produkcye beduinów, którzy ze swemi wielbłądami do Poznania zjechali. Plac, na którym legli obozem, znajduje się w pobliżu dworca kolei żelaznej Gdym miasto przejeżdżał, ujrzałem zdaleka jednego z hr. Żółtowskich, dobrego mego znajomego. Szedł trotuarem, z torbą podróżną w ręku, a chociaż skwar był nieznośny i on często pot z czoła ocierał, nie wziął sobie dorożki. Ujrzawszy mnie, dał znak, żebym stanął, a gdy zapytał dokąd jadę i odpowiedź otrzymał, rzekł: Ponieważ mam jeszcze blizko godzinę czasu do pociągu, więc przyjdę i ja przypatrzeć się beduinom i tam się odszukamy „Czemu jednak idziesz pieszo, na takie gorąco?“ — zapytałem. — Na kolej blizko! odrzekł i poszedł dalej z uśmiechem, żwawo, mimo że lat miał już blizko sześćdziesiąt. Na placu kupiłem bilety pierwszej klasy tak dla dzieci, jak dla siebie i zasiedliśmy na krzesłach. Nim jednak przedstawienie się zaczęło, uczułem, że mnie ktoś z tyłu za rękaw pociągnął. Obracam się i kogo widzę? Mojego hrabiego, z torbą w ręku, lecz tam, za sznurem, na miejscu ostatniem, gdzie pospólstwo staje, a choć był narażony na ciągłe nawoływanie policyanta, który gawiedź łokciami wstrzymywał, by się naprzód nie cisnęła, nie kupił sobie droższego biletu, bo pieniędzy żałował.. Za to też cała szlachta wielkopolska schodzi na dziady, a oszczędna rodzina Żółtowskich nietylko żadnej ze swych włości dotąd nie uroniła, lecz jeszcze wciąż nowe dokupuje. Oto panie — kończył ś. p. Bentkowski — jakeśmy żyć powinni, jeżeli tu, gdzie mamy do walczenia z możnym nieprzyjacielem i wyższą kulturą, chcemy się przy ziemi utrzymać.

Niedawno pisano mi z Poznania, że Bentkowski ciężko chory — teraz dochodzi mnie wiadomość, że przestało bić to serce, które swoją ziemię tak gorąco kochało.

Cześć pamięci męża zacnego!

Józef Rogosz.

(Dokończenie nastąpi)

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 8. Stycznia 1888 r.

Nie da się zaprzeczyć, że urzędowa stolica naszej prowincyi z dniem każdym robi się piękniejszą. Kto ją widział przed laty 30-tu, tenby jej dziś pewnie nie poznał. Gdzie okiem rzucisz, wznoszą się domy okazałe, z wodociągami i łazienkami, jak zagranicą, w ostatniem dziesięcioleciu powstały całe nowe ulice, a gdy gmach pocztowy będzie ukończony, poczem przyjdzie kolej na Muzeum, którego fundatorką jest gal. Kasa Oszczędności, wtedy czystej krwi lwowianin śmiało zaspiewa do uszka swej lubej: *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?* To gorączkowe zabudowywanie się Lwowa, ma i tę dobrą stronę, że mieszkania, które jeszcze do niedawna były u nas niesłychanie drogie, zaczynają spadać. Kilka dni temu na samej tylko ulicy Kraszewskiego, pięknej i zdrowej, naliczyłem ośm próżnych apartamentów. Czy dawniej słyszał kto we Lwowie o czemś podobnem w końcu grudnia? Ponieważ ruch budowlany nie ustaje, więc łatwo może u nas to nastąpić, co lat temu 14 stało się we Wiedniu, Dreznie, Berlinie, Wrocławiu i w innych miastach niemieckich. Oto w skutek nadmiaru nowych domów, nie zostających w należytym stosunku do miejscowej ludności, nastąpił tam tak zwany „krach kamieniczny,“ poczem domy spadły w cenie niezmiernie. A gdyby u nas do tego przyszło, wątpię czy ogół żałował by panów kamienicznych. Miasto kupować ziemię, która bądź co bądź jest jedynym naszym skarbem narodowym, miasto rozwijać przedsiębiorstwa, których tak gwałtownie potrzebujem, wolą oni stawiać domy, te bowiem dają im 8 do 10%, podczas gdy rola nie przynosi więcej niż 4% a przedsiębiorstwa są ryzykone. Kto więc chce bez kłopotu pobierać wielkie odsetki, ten niech będzie przygotowany na wszystko, nawet na „krach.“

Gdym chodził po mieście myśląc o tej sprawie, oko moje padło na napis: „*Mleczarnia narodowa*“ a nieco dalej postrzegłem drugi: „*Bazar narodowy.*“ Mój Boże! jak tem słowem ludzie dziś pomiatają! Niegdyś wyrażenia „narodowy“ i „patryotyczny“ były u nas synonimami, naród bowiem jak nasz, rozdarty i życia politycznego pozbawiony, musiał sobie obrać słowo, będące, że się tak wyrażę, godłem jego siły duchowej, i dla tego to zachodzi u nas wielka różnica między rzeczami „narodowemi“ a „krajowemi.“ Narodowemi mogą być literatura, sztuka, pieśni, strój; krajowemi piekarnie, mleczarnie i tym podobne zakłady. Jeżeli wywieszanie tak niewłaściwych godeł nie ustanie, dojdzie powoli do tego, że obok gęsi narodowych będziemy mieli także woły narodowe! *Honny soit qui maly pense!...*

Właśnie kiedym podziwiał „Mleczarnię narodową“ zbliżył się do mnie jeden ze znajomych i zapytał:

— Będzie wojna?

— Nie wiem.

— Nie wiesz? A przecie jeżeli kto, to ty, powinienby o tem wiedzieć.

— Ja jestem pewien, że sam Bismark tego nie wie.

— Żartuj zdrów, ten wie wszystko! — zawołał mój znajomy.

— Mylisz się, coś podobnego przypuszczając. Przeczytaj pamiętniki hr. Beusta niedawno wydane, a z nich się dowiesz że w r. 1870, na kilka tygodni przed wojną nikt w Europie nie przeczuwał że niebezpieczeństwo było tak bliskie. Ilekroć w powietrzu wiszą sprawy ważne które tylko krwawa walka może rozstrzygnąć, wszyscy są przerażeni i gotowi, ale kiedy i w której stronie wybuch nastąpi, tego z matematyczną ścisłością nikt nie przewidzi. Że wojna w powietrzu wisi, to wszyscy czujemy, ale czy nastąpi ona na wiosnę, czy dopiero za lat dwa lub trzy, któż to odgadnie! Bądźmy więc na nią przygotowani, ale nie myślmy, że mamy ją już za drzwiami.

Mój znajomy wzruszył ramionami i poszedł dalej, ja zaś zacząłem odczytywać świeżo ponalepiane ogłoszenia. Patrzcie, ile to nowości przynosi nam r. 1888. Tu *Światełko* tam *Mały światek*, tu *Wieczory zimowe*, tam *Świat*. Ach! ten *Świat*, jak on ludziom zaimponował! Wydawca chcąc wszystkich sobie zjednać, wymienił tylu współpracowników z obozów tak różnorodnych, że jeżeliby oni wszyscy mieli w *Świecie* swoje prace drukować, z pisma tego zrobiłaby się istna wieża Babel. Wyobraźmy sobie następujące pary w jednej sali: Zimny konserwatysta, p. St. Koźmian, wiedzie bardzo postępową przyjaciółkę żydów, p. E. Orzeszkową; znany ultramontanin, hr. Ludwik Dębicki, wycina hołupce z bezwyznaniową panią Konopnicką; żyd Nossig, wyznawca wiedeńskiego liberalizmu, walcuje z katoliczką, baronową Haagen, zaś głośny ateusz p. Aleksander Świętochowski z głęboko wierzącą i idealną Deotymą. Zaiste takiego tańca w żadnem piśmie polskiem dotąd nie widziano, i jeżeli *Świat* ma istnieć, czego mu z serca życzymy, musi oświadczyć się za jednym lub za drugim kierunkiem, bo inaczej publiczność z politowaniem będzie spoglądała na organ pełen galimatjaszu. W Paryżu powstało wprawdzie teraz pismo pt. *Revue de Paris et de St. Petersbourg*, w którem umieszczają swoje prace ludzie najróżnorodniejszych przekonań, ale organ ten ma przynajmniej ideę polityczną wszystkim wspólną, którą jest chęć zbliżenia Francyi do Rosyi. Gdzie więc wchodzi w grę myśl polityczna, tam czytająca publiczność nie wiele zwraca uwagi na socyalne i religijne przekonania współpracowników. W *Świecie* jednak idei politycznej nie będzie, pozostaną zatem tylko przekonania estetyczne, religijne i społeczne, a jeżeli między temi nie zapanuje harmonya, organ p. Sarneckiego będzie robił wrażenie spekulacyi literackiej, polującej na względy całego świata, i nie mogącej dla tego nikogo zadowolić. Bliska przyszłość okaże ażaliśmy się mylili.

Skorom wspomniał o Paryżu muszę powiedzieć słów kilka o niedawno zmarłej pani Boucicault, której testament jest dziś przedmiotem rozmów we wszystkich zakątkach tak starego jak nowego świata. Co to za jedna ta p. Boucicault? Była to właścicielka największego w całym świecie domu handlowego pod firmą: „*Au bon marché*,“ w Paryżu. Jestto sklep, w którym począwszy od igły zapałki, można dostać wszystkiego, czego się tylko żywnie człowiekowi zachce; w którym pracuje około czterech tysięcy oficyalistów, a członkowie rady administracyjnej, z pośród nich wybieranej, pobierają po 25,000 fr. rocznej pensyi; które mu kilkaset własnych fabryk po najrozmaitszych stronach kraju, dostarcza towaru, aby go mógł naprawdę tanio sprzedawać.

Przed czternastoma laty młode małżeństwo, p. Arystydes Boucicault z żoną swoją Małgorzatą (Guérin), na rogu ulic des Sèvres i du Bac założyli skromny sklepik z obuwiem. Pracowici a energiczni, rozwijali powoli swój zakład, który w końcu przybrał tak olbrzymie rozmiary.

Państwo Boucicault mieli syna jedynaka, nawet już żonatego, którego jednak śmierć przedwczesna im zabrała; za nim niebawem poszła jego młoda małżonka, a wkrótce potem i Boucicault ojciec. Pani Boucicault, owdowiawszy i osierociawszy, oddała się swemu zakładowi i uczynkom chrześciańskim, mającym przedewszyskiem na celu dobro pracowników w jej magazynach. Na kasę ich emerytalną dała pięć milionów franków, która to suma wraz z odsetkami strąconemi z dochodów ponad pensyę pobieranych, stanowi fundusz, z którego każdy z oficyalistów, po 25 latach służby otrzymuje całkowitą pensyę, co również odnosi się i do tych, którzy w ciągu służby stracili zdrowie i pracować nie mogą. Można powiedzieć, że zacna ta niewiasta żyła dobroczynnością. W zeszłym roku na koncercie urządzonym w Trocadero na cel dobroczynny, ofiarowała tysiąc franków za bilet, a gdy podczas pauzy poczęto kwestować jeszcze dla pomnożenia funduszu, a kwestujący, wiedząc o jej hojnej za bilet ofierze, pominęli jej lożę oburzyła się na to, kazała ich do siebie poprosić, i jako swój grosz wdowi oddała im wszystko co miała przy sobie: pięć banknotów po tysiąc franków. Jest to tylko jeden rys jej charekteru, ale dobrodziejstw, które świadczyła po większej części tak, że lewica nie wiedziała co daje prawica, policzyć nie podobna.

Ta zacna niewiasta — chluba mieszczaństwa francuzkiego i całej Francyi, zmarła w dniu 8 z. m. w willi swojej w Cannes, w 70 roku swego życia, a testament jej będzie żywym pomnikiem, który wdzięczną jej pamięć podając z pokolenia w pokolenie, przechowa ją w dalekie wieki, będzie *aere perennuis*, jak mawiali rzymianie.

Niepodobna mi tutaj spisywać wszystkich punktów tego testamentu nad testamentami, w którym nie pominięto żadnej instytucyi, mającej cel filantropijny, społeczny, naukowy lub artystyczny; przytoczę tylko punkt pierwszy,

jako jeden z najcharakterystyczniejszych. Tym punktem nieboszczka zapisuje wszystkim swoim oficyalistom, mającym od jednego dnia do trzech lat służby, po 1,000 fr. mającym od trzech do sześciu lat, po 3,000 fr.; od sześciu do dziesięciu lat po 6,000 fr.; a tym co choć jeden dzień nad dziesięć lat przesłużyli, po 10,000 fr. Ten jeden legat wynosi 16 milionów franków, podczas gdy cała summa, jaką testament rozporządza, wynosi 60 milionów franków. Dodać muszę, że drugi zaraz punkt obdarza w podobny sposób wszystkich robotników i robotnice w magazynach i po fabrykach, wyznaczając im, w stosunku do tego, jak długo pracowali, po 100 do 1,000 franków. Czy który z Rotszyldów, rozporządzających miljardami zrobił kiedy taki testament? — Cześć pamięci zacnej chrześcijanki, której przykład przez długie wieki będzie ludzkości przyświecał!

Skoro mówimy już o umarłych i ich czynach szlachetnych, warto więc zanotować na tem miejscu, że niedawno temu i prawie równocześnie, odbywały się o kilka mil ode Lwowa dwa pogrzeby. Za jedną trumną, skromną jak życie człowieka, który w niej znalazł ostatni przytułek, a niesioną przez przyjaciół, postępowali magnaci z odkrytemi głowami, na ich czele sam Marszałek krajowy, hr. Jan Tarnowski, dalej szlachta, urzędnicy, mieszczanie, chłopi, nawet żydzi. Na wszystkich twarzach był smutek, łza w każdem oku błyszczała, bo ten, którego chowano, należał do najszlachetniejszych synów naszej ziemi. Serce jego biło tylko dla ojczyzny, myśli wszystkie były zwrócone tylko do kraju, dłoń była zawsze otwarta dla biednych... W tej trumnie spoczywały zwłoki ośmdziesięcioletniego weterana, właściciela Hoszan, Henryka Janki.

O ileż wspanialszym był drugi kondukt pogrzebowy Na bogatym karawanie, zaprzężonym w sześć koni, spoczywała kosztowna trumna metalowa, po obu bokach postępowali za drogie pieniądze najęci drabanci w strojach hiszpańskich, a dalej szedł tłum uśmiechnięty, rozmawiający, ciekawy, bo każdy chciał się dowiedzieć, kto po nieboszczyku miljonową fortunę odziedziczy. Nikt nie płakał, nikt nawet nie westchnął, bo hr. Stanisław Potocki, pan na Brzeżanach, tę tylko pamięć po sobie zostawił, że majątek jego, którego niestety nie mógł z sobą zabrać, wynosi przeszło 30 miljonów guldenów.

O życiu i śmierci Janki wszyscy w kraju mówili — o życiu i śmierci Potockiego wszyscy milczeli. Zaiste była to największa usługa, jaką kraj oddał panu na Brzeżanach!

p.

PORADNIK DOMOWY.

Ciepły napój dla krów. Pasza gotowana.

Wiadomo, że kartofle przez ugotowanie stają się o wiele pożywniejszemi, a szczególniej gdy gotowanie odbywa się za pomocą pary. To samo ma się i z innemi jarzynami, dlatego też zaprowadzenie po lepszych gospodarstwach parników jest wydatkiem opłacającym się sowicie i w bardzo krótkim czasie. Napój ciepły także jest daleko korzystniejszy od napoju zimnego, zwłaszcza przy utrzymywaniu na oborze dojnych krów i opasów. Napój ten najczęściej daje się w formie jakiegoś wywaru. Najpospoliciej składa on się ze słodzin wygotowanych kartofli, buraków, marchwi i t p, z dodatkiem soli, która obok dobroczynnego wpływu na apetyt i ogólny proces trawienia, ma, jak wiadomo, własności powiększania mleczności u krów i nadawania nabiałowi lepszego smaku i pożywności. Najgorsza sieczka, byle sparzona solnym ukropem, chciwie jest pochłaniana w oborach. Odwar z siana jest pospolicie używany w Anglii dla pojenia bydła rogatego, koni i owiec. Należy go jednak całkiem ostudzić, gdyż podawany w stanie chociaż tylko tak ciepłym jak świeżo udojone krowie mleko, powoduje bardzo często kaszel. Wygotowane siano zużywa się na podściółkę. Ekonomia gospodarska na tej manipulacyi zyskuje bardzo wiele.

Przygotowanie papierków do kadzenia.

Chociaż powszechnie panuje przekonanie, że zniweczyć można odór nieprzyjemny i jego szkodliwość za pomocą rozmaitego rodzaju kadzideł, przyznać musimy, że jest to najzupełniej błędne mniemanie. Kadzidła i pachnidła niweczą wprawdzie zapach, nie usuwają jednak wpływu na ustrój szkodliwych wyziewów i nie czynią ich mniej szkodliwemi. To też używanie ich w celu dezinfekcyi jest zupełnie nieracyonalne. Jeżeli jednak chcemy nadać przyjemny zapach powietrzu i uczynić je wonnem, kadzidła mają racyę bytu. Podajemy tu sposób tani przygotowania papierków do kadzenia. Papierek dowolnej wielkości maczamy w rostworze gumy arabskiej lub rybiego kleju, następnie w przyrządzonej według poniżej recepty mieszaninie: 9 kropel olejku różanego, 8 kropel nalewki benzoesowej, 10 kropel nalewki wanilijnej, oraz 5 gram balsamu peruwiańskiego. Substancye powyższe mieszamy i maczamy w nich papierek gumowany. Po wyschnięciu otrzymujemy papierki, które, spalone nad świecą, wydzielają bardzo przyjemną woń, rozchodzącą się po całym pokoju. Papierki przechowywać należy w puszkach, szczelnie zamkniętych.

Likier Curaçao.

Zapytani przez jedną z łaskawych czytelniczek, podajemy dziś na tem miejscu przepis domowego przygotowania likieru, który słusznie dla swego smaku i zapachu posiada szeroki rozgłos i uznanie. Oryginalny *Curaçao* jest zbyt drogi, aby mógł znajdować się często na stole mniej zamożnych, należy więc zastąpić go przez nieoryginalny, niemniej jednak dobry w smaku. W każdym składzie materyałów aptecznych możemy dostać kory rośliny *Caraçao* (*cortex Curaçao*). 45 gramów tej substancyi nastawiamy na funcie 90% spirytusu (*spiritis redestilatus*) przez 6—7 dni w miejscu ciepłem, t. j. przy ciepłocie średnio 20°—25° R. Po upływie tego czasu cedzimy płyn przez bibułę i dodajemy do niego syropu Syrop powinien być dość gęsty, dlaczego więc na funt cukru używamy pół funta wody. Syrop zagotowujemy i po ostudzeniu dolewamy do poprzednio otrzymanego płynu. Mięszaninę tę odstawiamy na kilkanaście minut w miejsce niezbyt ciepłe dla sklarowania i po upływie tego czasu otrzymujemy żądany likier, mogący zadowolić nawet wybrednych smakoszów.

Logogryf.

(Wł. Tarnowskiego z Kamionki Str.)

Z następujących liter ułożyć wyrazy, których początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą imię, czytane zaś z dołu do góry utworzą nazwisko sławnego króla.

a, a, a, a, b, b, d, e, e, f, ch, k, l, n, o, o, o, o, o, r, r, r, r, s, a, t, t, t, u, u, u, y, y, y, y, z.

1) Miasto w Sycylii.
2) Imię męzkie
3) Zjawisko akustyczne.
4) Minerał.
5) Prowincja w Hiszpanji.
6) Bogaty człowiek.

Za pierwsze dobre rozwiązanie damy jako premjum ***„Marję“*** *Malczewskiego.*

Ktokolwiek przyszle nam dobrą łamigłówkę i jej rozwiązanie, umieścimy ją w najbliższym numerze wraz z nazwiskiem autora.

Z drukarni nar. W Manieckiego: Zarządca: Walenty Hodak. Wydawca: Józef Rogosz. Odpowiedzialny redaktor: Teofil Szumski.